

Edward  
Derylak

Maciej  
Rzymiski

Edyta  
Wysocka

Tadeusz  
Charmuska

35  
KONKURS  
LITERACKI  
"Limesu"

Alina  
Mendrala

Bogdan  
Nowicki

Michał  
Biernat

Małgorzata  
Stachowiak-  
Schreyner

Piotr  
Kolasiuk

utwory  
nagrodzone  
i wyróżnione

Daniel  
Ratz

ISBN: 978-83-7051-694-9

**Uniwersytet Przyrodniczo-Humanistyczny  
w Siedlcach  
Uczelniany Ośrodek Kultury**

**35 Konkurs Literacki LIMESU**

**utwory nagrodzone i wyróżnione**

**Siedlce, 2012**

Wydawca:

Uniwersytet Przyrodniczo-Humanistyczny w Siedlcach

Uczelniany Ośrodek Kultury

**ISBN: 978-83-7051-694-9**

Konkurs odbywa się pod patronatem

Prezydenta Miasta Siedlce.

Impreza promocyjna zorganizowana

przy życzliwej współpracy

Domu Pracy Twórczej „Reymontówka” w Chlewiskach

Okładka, koncepcja graficzna i typograficzna oraz skład:

©Jolanta Szymczyk

# **PROTOKÓŁ**

## **z posiedzenia jury XXXV Konkursu Literackiego**

**Jury w składzie:**

**1. Włodzimierz Pawłowski**

**2. Sylwia Flis**

**3. Dawid Półrolniczak**

**4. Tadeusz Goc – sekretarz**

**po rozpatrzeniu nadesłanych prac w kategorii prozy i poezji postanowiło przyznać:**

**w kategorii poezji:**

**I nagrodę – Maciejowi Rzymowskiemu z Łodzi, godło „Jar”,**

**II nagrodę – Edycie Wysockiej z Miastka – godło „Omega”,**

**wyróżnienie – Bogdanowi Nowickiemu ze Świętochłowic, godło „Heaney”;**

**w kategorii prozy:**

**I nagrodę – Danielowi Ratzowi z Płocka, godło „Teby”,**

**II nagrodę - Alinie Mendrali z Siedlisk, godło „Lotos”,**

**wyróżnienie – Piotrowi Kolasiukowi z Siedlec, godło „Maltrick”.**

**Jury zwróciło też uwagę na prace opatrzone godłami: Kropidlak (Tadeusz Charmuszko) Baba Dziwo (Małgorzata Stachowiak-Schreyner), JoAnna (Edward Derylak) oraz nie opatrzone godłem wiersze Michała Biernata.**

**Podpisy Jury:**

**(w oryginale)**



## Laur z wersów

XXXV Konkurs Literacki „Limesu”, został rozstrzygnięty. W odróżnieniu od poprzedniej edycji, tym razem poezja zdecydowanie przeważała na szali Jury. Wybór zawsze jest problematyczny. Każdy juror posiada własne doświadczenia i zamiłowania literackie. Jakość literacka nadesłanych utworów, stanowi punkt styczny dla wszystkich opinii. To ona jest wyznacznikiem i pretekstem do przyznania tej czy innej nagrody. Traktowanie jakości jako pojęcia zbyt abstrakcyjnego, by móc się nim swobodnie kierować dla krytyków literackich czy badaczy literatury, nadal jest istotą oceny tekstów. By móc oceniać jakość, należy posiadać gruntowną wiedzę z zakresu teorii i historii literatury oraz posiadać pewien zmysł estetyczny, pewną możliwość dostrzegania potencjału artystycznego i zachowania balansu, równowagi między formą a treścią. Od wieków trwają dyskusje na temat „złotego środka”. To jak poszukiwanie Świętego Graala. Ci, którzy zbliżyli się do osiągnięcia równowagi w swojej twórczości, wspólnie tworzą kanon literatury światowej. Ich twórczość stawiana jest za wzór, jednak jest on tylko podpowiedzią czy pretekstem do pracy nad własnym warszatem artystycznym. Przekaz, komunikat, „prawdy żywe”, wartości uniwersalne i dotyczące ich własny punkt widzenia oraz przemyślana i autorska konstrukcja utworów, stanowią klucz do odróżnienia piszących od pisarzy. Piszący, są na pierwszym etapie sztuki literackiej. Mogą na nim poprzestać, jeśli ich zamiarem jest jedynie uchwycenie na kartce pewnych zdarzeń czy emocji. Nie jest to ważne, czy tekst taki pisze nastolatek targany burzą hormonów,

poborowy oczekujący na spotkanie z ukochaną, więzień korespondujący z żoną czy wnuczek tworzący laurkę dla babci. Czasami, po latach znajduje się takie teksty i wspólnie się je czyta, często z nutą nostalgii i uśmiechem na twarzy. Jeśli zaś piszący rzeczywiście posiada talent literacki, poznaje arkana sztuki literackiej, zgłębia wiedzę o literaturze i mozolnie pracuje nad własnym stylem, ma szansę zostać zauważonym przez krytyków i, dzięki ich pomocy, jego utwory mogą zostać opublikowane w czasopiśmie literackim. Kolejne publikacje motywują do pracy i rozwijają warsztat artysty. Rzeczywiście, jest rzemieślnikiem i artystą jednocześnie. Dzięki temu stopniowo dołącza do grona pisarzy. Ci ostatni, tworzą sztukę niepodatną na upływ czasu. Wnoszą swój talent do dziedzictwa literatury i zostają zapamiętani jak ich poprzednicy, którzy niegdyś byli ich mentorami. To trudny i długotrwały proces. Niewielu może poszczycić się jednym zbiorem poezji czy krótkim żywotem i niewielkim dorobkiem, który zapewnił im nieprzemijającą poczytność i sławę. Nie można liczyć na to, że jest się jednym z nich. Ich celem nie było szybkie zaistnienie, krótkie życie i danie z siebie olbrzymiego ładunku artyzmu. Zarówno ich długość tworzenia jak i życia, leżały w gestii Boga czy Siły Wyższej, jak kto woli określać Moc decydującą o ludzkim losie. Zadaniem konkursów literackich czy czasopism „branżowych” nie jest schlebienie i poklepywanie po ramieniu, gest zarządcy winnicy, który docenia pracę robotnika sezonowego. Nagrody i publikacje mają motywować do dalszego rozwoju i poszukiwań własnego sposobu na kontakt z czytelnikiem. Ci, którzy nie zostali docenieni przez jury czy redaktorów pism, nie powinni dostrzegać w tym przeszkody na drodze ku samorealizacji. Może to świadczyć o potrzebie wykazania większego wysiłku rzemieślniczego czy dalszych poszukiwań własnego stylu. W wielu wypadkach autor, świadomie lub nie, powieła zastane rozwiązania

artystyczne czy krążące w powszechnym obiegu, sentencje czy interpretacje uniwersalnych treści. Często jest to wynik bycia pod wpływem danej lektury czy fascynacji danym autorem. Nie można się zrażać i należy konsekwentnie poszukiwać własnego, artystycznego „ja”. Przechodząc do meritum, podczas tegorocznej edycji Konkursu, jury zwróciło szczególną uwagę na nagrodzonych i wyróżnionych autorów. Mając nadzieję, że będą oni dalej pracować nad swoim stylem i rozwijać własne talenty, jednocześnie pragnąłbym zasugerować pozostałym dalsze odkrywanie pokładów wyobraźni i emocji. Być może, drzemie w nich ukryty talent, albo po prostu dzięki temu poznawaniu siebie, ocalą oni ważne ale jak ulotne chwile, które będą wspominać po latach.

Dawid Półrolniczak





## Maciej Rzymiski – I nagroda



\* \* \*

Nasze drzwi były naznaczone kredą. Mimo to śmierć złamała zamek. Jak esesman przysięgę, że ludzie, którzy ważą więcej niż trzydzieści kilo, nie pójdą do gazu. Świeca strasznie kopciła. Zaufaliśmy elektryczności, bo dziecku było trudno oddychać, nie wiedzieliśmy że to już, skoro przed chwilą otworzyło oczy i zamiast *mamo* powiedziało *mam*. Nigdy nie nawykliśmy do patrzenia na śmierć, poza telewizorem. Dusza mogła nam przelecieć przez palce niezauważenie. Wujek Józek zobaczył jak nic przechodzi w nicłość. Ale jemu było łatwiej. On ateistyczne wychowanie wyszał z filozofii. My, łamiącym się głosem, by podtrzymać życie, w kółko szeptaliśmy zaklęcie:  
*Ojcie nasz, któryś jest w niebie święć się imię Twoje, dopóki nie straciło na ważności.* Byliśmy nie tylko bezsilni, co założyliśmy? Czarne ubrania jako białą flagę? Życie zwalniało, ale przegapiliśmy wszystko. Jeden spojrzął na rurkę od cewnika. Drugi na wenflon, a ciocia miała łyżę w oczach zamiast patrzeć tajemniczy na ręce. Śmierć zrobiła jedną kiwkę

## Maciej Rzymki – I nagroda



w polu karnym, zanim zdążyliśmy ustawić mur.  
I na nic zdały się protesty, że nie słyszeliśmy gwizdka sędziego.  
Nawet nie mieliśmy wyczucia chwili,  
jak orkiestra. Skrzypce wyprzedzały obój,  
a ciocia była niedostrojona ciszą.  
Myśleliśmy, że to będzie jak rzut dyskiem.  
Chcieliśmy odprowadzić duszę na skraj.  
Wykonać pauzę pod batutą, która zabiera oddech,  
ale nawet w tej ostatniej godzinie wszystko działa się  
za szybko dla naszego oka zdolnego do uzyskania na siatkówce  
ostrego obrazu zarówno przedmiotów odległych  
jak i bliskich.

## Maciej Rzymki – I nagroda



\* \* \*

Oswoiiliśmy się jakoś z myślą  
wychodzenia z grobów. Na dźwięk trąby.  
Już nas nie przeraża. Ta wizja  
została obłąskawiona przez katechizm i telewizję.  
Mamy jako takie - być może błędne - wyobrażenie.  
Tego się trzymamy, jak robak, gdy rzuci się na niego  
odrobinę światła. Sztucznego jak plastik  
w swojej najczystszej postaci. Kwiatów  
przynoszonych na cmentarz.

## Maciej Rzymiski – I nagroda



\* \* \*

Naród, zostawmy te abstrakcje  
z pękniętej porcelany. Trudno się napić  
gorącej herbaty, żeby rozgrzać ręce  
(współczesny synonim duszy  
dla przewrażliwionych). Gdy chodzi o piecyk  
i dawanie ciepła, jestem do usług. Robię ci miejsce  
w kieszeni. Chowam twoją dłoń  
jak kasztanka. Trochę na szczęście,  
trochę dla przyjemności. Przychodzi mi na myśl,  
że te dwie niezgrabnie splecione piąstki,  
to już prawie nieśmiało posklejany Naród.

## Maciej Rzymki – I nagroda



\* \* \*

Manicheusz twierdził, że zamieszkuje w nim  
Duch Święty. A czy nie był to jedynie demon  
pychy i niezrozumienia sytuacji  
lokalowej?  
Robić z metempsychozy widły religii  
i podawać na nich światło jak snopy  
powiązane w kopy absurdu. Teorie  
O jedzeniu roślin i owoców,  
które w brzuchu pod wpływem modlitwy  
1 trawienia uwalniają cząstki światła.  
Którędy wydobywa się prawda? Ma wielkie znaczenie.  
Od tego często zależy czy rzuca cień, czy na kolana.

## Maciej Rzymiski – I nagroda



\* \* \*

Dla mnie nie potrzeba fatygować piekła. Wystarczy,  
że chcielibyście obedrzeć mnie ze skóry. Dawałem słowo,  
ale gardła bym nie dał. Taka jest moja wiara.  
Chciałbym mieć niezachwianą pewność,  
ale wolałbym tego nie sprawdzać. To jest poligon,  
żeby nie dać się zaskoczyć. Na Sądzie Ostatecznym  
będę śpiewał bardziej dokładnie, docierał do prawdy  
o sobie. Jestem jak wiatrak z rozpostartymi ramionami,  
kręcę się pomiędzy filozofią świętego Tomasza z Akwinu,  
a zwałupieniem, rozkładam bezradnie duszę. Niszczę  
niepokój, żeby doświadczyć odrobiny szczęścia.  
Ale kulawa radość nie może być pełna. Lęk  
nie jest przewyżczony, a tylko oszukany  
jak głód prawdy marnym batonem zjedzonym  
po kryjomu. Strach i bieda iść w zaświaty  
bez pewności, że natrafi się na coś miłego. Czyściec  
przynajmniej. Kara, która nie trwa za długo  
za to, że na poligonie strzelało się dla zabawy,  
bez rozkazu i nie tylko do tarczy.

## APOKALIPSA ODROZONA

TAK!

ale **Ktoś** miesza,  
a ujmując rzecz uczenie,  
dzieją się turbulentne powariowania antymaterii,  
jakiś perseidy, tajfuny, tsunami, osuwania,  
koronalne wyrzuty czegoś,  
sejsmografy całe na czarno  
i jeden Bóg wie, co jeszcze...

NIE!

zasłonić oczy, że niby nic,  
przeżuwać swoje kanapki i robić pieniądze,  
zwłaszcza, że już trochę prorocत्व za nami,  
a mądrzy znów się pomylili, bo nie za rok,  
a za lat sto (według Majów aż w roku 4772),  
ale kto chce, może sobie już teraz ginąć, chociaż  
słuchając dziadka Ignacego, koniec nastąpi wtedy,  
gdy wszyscy w to aż tak uwierzą,  
że ze strachu sami poumierają.

A JEŻELI

jest to kwestia przewidywalna,  
bo niektóre fakty sensowne,



Edyta Wysocka – II nagroda



to...czy nie *wartałoby* poważnie?  
dinozaury też tak miały - swój początek i koniec.  
nawet planety rodzą się i umierają.  
czyli, że i naszą może wciągnąć jakaś czarna dziura.  
i pomyśleć, jakie miny zrobią niedowiarki?

ZRESZTĄ,  
jakby nie było,  
i tak się wszyscy spotkamy Tam lub Tam  
ma się rozumieć w piekle, albo w niebie...  
a Bóg powiedział -  
*nikt nie zna ani daty, ani godziny,*  
i tego się trzymać -  
Sehr geehrte Damen und Herren!

## AGORAFOBIA XXI WIEKU

*...Potem wstał, rozkazał wichrom i jezioru,*

*i nastąpiła głęboka cisza.*

*Ewangelia św. Mateusza 8.23-27*

rybitwy, dzieciaki, 30 w cieniu,  
bezwietrzność rodzi chwilę,  
fala powoli, narasta, odkształca się,  
rozdiera powietrze i światło.

murom łatwiej padać, i drzewom,  
a te są różowe, turlają się maleńkie  
wprost do otwartych łuz ziemi,  
kapiące kule bilardu zdarzeń,  
krew dziecka jest jasna, 70 na 110.

i wszystko wydaje się agorafobiczne,  
bez logicznego ładu przestrzeni –  
ulica rzeką, kamienie, piach,  
ciała i skorupy oniemiałych skamielin,  
szczątki starowieczne z dna pradziejów...

opowiadałeś o Arce Noego,  
o długiej pamięci pokoleń:  
przychodzi czas, gdy z ciszy wychodzi głębia,  
z sensu przeobraża się w nieuchronność,  
w pozornym bezruchu otwiera kres.

## CHMURY

o nich wieszcz:

*u nas dość głowę podnieść...*,

a teraz wielkie zawirowania.

pamiętasz?, w dzieciństwie byty białe,  
niosły się jak puchowe pierze babć,  
jak koszyczki kędzierzawych ostów  
na starym moście, który zawsze i zawsze.

teraz nie podnoś głowy,  
pytajniki i wykrzykniki:  
będziemy, nie będziemy, nie wiemy...  
*rano, w wieczór, we dnie, w nocy,*  
kto nam ku pomocy?

a lato rozwija się w jasnozieleni,  
bo teraz duża woda, użyźnia, narasta,  
spójrz, ile paciorkowych skrzeków  
biega między liśćmi żabieńców,  
jak rozsadza się wesołość.  
1 turkot rzekotek wszędzie,  
fluorescencja śpiewu w naszym bajorku,  
beztrosko ślizgających się pluskwiaków,  
w pastelowej tęczy życia.

## HELIOFITY 2012

bo zawsze to samo: zapachy, obrazy,  
kosmyki blasków zza ścian...

czy wysoko jeszcze słońce?  
świeże i mocne, przeznaczone dla heliofilów,  
klucze do bram zielonych?

kuszą chwile, pali sól na ciele  
i głowa zrywa się wysoko,  
nawet tu, skąd już odchodzą ludzie,  
których światło jak zwykły pajak na nitce.  
bo nie ma dla nich wczoraj — jutro...

umknąć by, z powietrzem, cicho, kocio,  
sklej ona lotność otworzyć,  
niewprawne palce zanurzyć w ciepłe krwi,  
w magię, aż po śpiew Mozarta.

wciąż te powtórki, życiorysy, krajobrazy...  
jak to jest? i skąd blizny?  
czy ktoś umie odczytać cel - bezsens dróg,  
gdy jeszcze drożny?  
istnieć? w zwykłej fizyczności?

Edyta Wysocka – II nagroda



jak mucha po skórze nieodkrywcza,  
a dotykalna?

gdzie są ogrody, lekkie powietrze,  
oczy małych dziewczynek...  
dlaczego piętno czasu nie przepuszcza tlenu,  
gdy bicie serca?

ale, na cóż to, znowu ktoś umarł,  
odszedł w słońcu, jak przelotne pięć minut,  
jak infantylny żart,  
jak nietakt biologicznego uścisku.

## BIOETYKA

.. żeby zatrzymać się tam, gdzie stoją granice,  
ale gdzie to jest, gdy wkracza biotechnologia.  
czy w ludzkim wyobrażeniu możliwe jest dopuszczalne,  
że organy rezerwuarem - potencjałem?

obraz patrzenia, rewerencja...

jak się przekonać, że to, co po życiu, staje się niepotrzebne?

technika transplantacyjna. czy się zdecydować?

a chrześcijaństwo, ucieleśniony duch, dar ciała,

szacunek wpajany od wieków?

czy nasze zmartwychwstawanie zawsze sobie poradzi

z uporządkowaniem elementów?

wycięte, niepełne...

jeśli oczekujemy przedłużenia siebie, czy chcemy tamtej śmierci? bać

się decydować, oddawać co swoje gdy życie, a gdy już

śmierć?

niechby rewerencja, a nie wyłączne prawo do omnipotencji.

bo w niej plus i minus, jak w nożu, który do krojenia i zabijania.



## PEJZAŻ WIEJSKI Z KONDUKTEM

Stolarnia zamknięta - nikt nie zastuka.

Na tafli lodu forma dębowego stołu

Przewraca sztywne karty nieba.

Mróz wygładza procesje szorstkich linii zabitych

Ciszą echa

W wewnętrzny, trzeszczący nurt słońca.

W białej zadymce śniegu

Bezwładnie trzepocą długie frędzle pajęczyn.

Styczeń struga ukośne wióry z ostrych sopli,

Gryzie zimny okrawek stolarskiego ołówka.

Wieje.

Tumany śniegu.

Karoca następnego wieku jedzie

Przez inną wieś.

## NIEURODZAJ

Dziadek przytaknął i puścił dym z fajki –  
Pod listwą zatrzęszczały kosteczki pisklęcia.  
Brudne ręczniki mierzwi oleiste światło.  
Na szprychach rdzewiejących kół wiszą  
Nitki bezdroży. Cecylia zaciska chude uda,  
Gumowe kable elektryczności pękają  
Pod sufitem. W sieni zapach nafty i pasty  
Do butów. Szelest pierza pod powiekami  
Odpustowych obrazków o świcie, we wnętrzu  
Dłoni suche grzędy warzyw.

Sąsiad Atanazy przychodzi opukiwać spróchniałe  
Belki, sypie się mąka z narożnej krokwi.  
Chata stoi bez ścian, sprzęty dygocą  
Obnażone. Widnokrąg oddala się i przybliża  
Falą niemego morza.

Tam, gdzie kogut piał każdy dźwięk jest otwarty  
Na oścież. Kurz przy doczesnej drodze.  
Długie cienie rzucane przez gipsową  
Świątą. Niewiarygodnie czysty blask szybek bez  
Ram piłuje każdy cień.

Z szantażem rzeczy wobec języka krajobraz  
Ma niemal duszę. W nocy to sen: włochata owca  
Błądząca ze dzwoneczkami.



## KÓŁKO

zrobiło furorę na czole  
nim zaprzęgli je do wozu  
a może było odwrotnie  
teraz z górki i pod górkę  
przetacza się po drogach  
z reguły bezkonfliktowo  
chyba że konkurencja  
pod płaszczykiem wyrw s  
zuka dziury w całym  
aż uwierzyć jest trudno  
że ono ciągle bez kantów  
choć tyle dogodnych okazji  
w skorumpowanym świecie  
pod cichą presją niebios  
przybiera kształt elipsy  
bądź kurzego jaja na twardo  
a ściśnięte mocno w kolejce  
w tramwaju lub w autobusie  
wstyd to komu powiedzieć  
staje się zwyczajnym zerem

Michał Biernat



## TRZECIA KWADRA

*"Tis nów the very witching time of night,  
When churchyards yawn, and hell itself breathes out  
Contagion to this world.'*

*Szekspir*

Księżyc wschodzi krwawo nad Doliną Chabrów...  
Świeże powietrze kryje w sobie duszny ton.  
Smugi rzadkiej mgły pokryły pola zbrodniczą aurą...  
Ciemne barwy leśnych szczytów potęgują mrok.  
Trzecia kwadra... Odwieczny świadek łypie z góry okiem

karmazynu,

Dzika natura jęła domagać się swych praw...  
Żaby i świerszcze kończą uwerturę wodewilu.  
Bezszelestnie rozprzestrzenia się strach...

Niech powstaną Duchy Przodków!  
Potępieńczy niech usłyszę szept...  
Zakipi jucha na dnie kotłów -  
-To prastowiański chrzest.

Szum skrzydeł nietoperza kreśli okrąg pośród mroku

## Michał Biernat



Daleki skowyt drapieżników, bliski żbiczych oczu błysk.  
Dłoń sięga sztyletu, bo słyszysz odgłos miękkich kroków...  
To czas zimnego potu, to pora wszelkich zwid...  
Na próżno wzywasz Boga! Trwa godzina Starej Magii!  
Każdą z Twoich myśli opanowuje Czarny Kruk  
I tracisz czucie nóg, biegiesz, depcesz stopą chabry,  
Woń dębowych liści...

Już...

Spokój...

Starych Dębów gaj to ostoja dzikich puszc...

Niech odpoczną Duchy Przodków,  
Potępińczy niech ucichnie gwizd!  
To koniec władzy czortów -  
-To prasłowiański Świt!

## ZNACHORKA

Na długo przed drugą wojną światową, nawet kilka lat przed pierwszą wojną, w małej wiosce ukrytej w mazowieckich lasach przysła na świat czarnowłosa dziewczynka. Miejscowość miejscowi nazywali „Rogatki”, choć tak naprawdę nazywała się Jeżewo. W latach międzywojennych i w czasie II wojny miejsce to nazywało się Środoń - Kolonia. Tak te Rogatki nazywali koloniści niemieccy z pobliskiej miejscowości Środoń. Mimo tych trzech nazw dla wszystkich okolicznych było normalnym nazywanie tej niedużej, w okrąg zabudowanej wsi Rogatkami. Może za sprawą tego, że z jej środka rozchodziły się drogi do innych ważniejszych i większych miejscowości, a mianowicie do Krzywego Kołka z młynem i z dalszym Łąckiem, do Soczewki zwanej niesłusznie Moździerzem z Sochą i Sendeniem, do Białego z jeziorem, Ludwikowem, Mokrym i Kluskiem, do Środonia i Brzeziny Góry, do Duninowa czyli do gminy, kościoła, sklepów i urzędów oraz bezpośrednio na matczyną wieś Jeżewo, dalszy Stary Duninów, Wisłę i Zawisłe. Prawdziwe zatem centrum małego wiejskiego świata tam było.

Dziewczynka urodziła się w najuboższej z możliwych rodzinie Świerszczów jako dziewiąty dopust Boży. Nie mieli nawet prawdziwego domu - bo trudno było nazwać domem wykopany w ziemi dół na dwa metry głęboki, długi na dziesięć metrów i szeroki na sześć. Ściany ziemianki pokryte były szczelnie wbitymi skrobanyymi kołkami - tyczkami wbitymi w ziemię. Z takich samych tyczek - choć dużo dłuższych był ułożony sufit. Od wewnątrz sufit wzmocniony był kilkoma słupkami pośrodku tej ogromnej jednej

## Daniel Ratz – I nagroda



izby, na zewnątrz dach jeszcze ocieplono dodatkową warstwą mchu, darni i liści przyciśniętych rosochatymi gałęziami. Podłogi nie było, zastępowało ją drobne zielone igliwie sosnowe, dające świeże, żywiczne powietrze. Co tydzień stare igliwie zmiotano i wysypywano nowym. W izbie było pięć łóżek zbitych z desek na sposób niziutkich stołów, duży stół, szafka na naczynia, kuchnia z gliny z prawdziwym żeliwnym blatem i blaszaną rurą -kominem prowadzącym dym na zewnątrz. Była jeszcze miska i wiadro z wodą. Wodę brano od sąsiada nazwiskiem Sztajer. U niego też trzymano jedyną ich krowę i w jego piwnicy kilkanaście metrów kartofli małych jak orzeszki -zapas jedzenia na całą zimę.

Dziewczynce dano na imię Regina. Rosła szybko, podobnie jak i całe rodzeństwo. U ubogich ludzi dzieci musiały rosnąć szybko i zdrowo - tylko bogatsi mogli sobie pozwolić na takie kaprysy, jak lekarstwa, szkoła czy młodość. Regina była małomówną dziewczynką o jakichś dziwnych, czarnych i głęboko się w kogoś lub coś wpatrujących oczach. Mówili na nią Czarownica. Z początku trochę pieszczotliwie, później jakoś tak z powagą.

Mając 15 lat była dorosła. Na którejś z sobotnich letnich potańcówek przy drodze koła Mietka Wróbla spojrzała jakoś dłużej i głębiej na dwudziestoletniego Leona Kalwasa - murarza z sąsiedniej wsi Trzcianno. Za rok wzięli ślub, bo była brzemienna. Za wymurowaną z czerwonej cegły oborę dla starej Aleksy dostał Leon od niej morgę gruntu. Wąski, gliniasto-piaszczysty, długi na pół kilometra kawałek ziemi. Na tym wąskim pasku Leon do spółki z ciężarną żoną zaczęli stawiać dom. Jego, z grubszych słupków dwuizbową konstrukcję oplatali giętym i krzaczastym jałowcem i oblepiali deptaną przez Reginę - Czarownicę, miękką jak masło

## Daniel Ratz – I nagroda



gliną. Od zewnątrz gliniany mur Regina ozdabiała odciskami swoich dłoni skierowanych ku górze w stronę strzechy. Środek pomalowali wapnem z farbą ultramarynową. Dwa nieduże okienka dostali od dziedzica z czworaczných odzysków, drzwi zrobił Leon, skobel dostał od kowala Romańskiego z Duninowa. Posadzili dwa krzaki jaśminu i dwa krzaki bzu („besu” jak mówiono tutaj) i kilka kęp smolinosów. Podłoga była także z ubitej gliny.

Okoliczni z jakimś dziwnym respektem traktowali ciężką siedemnastoletnią Reginę, może z tego powodu, że wieczorami drąc pierze u sąsiadów czy pomagając przy motaniu wełny powiedziała coś bardzo mądrego skarżącym się na choroby u siebie czy bydła, może z powodu jej jakby dziwnych próśb wymawianych z cicha, ale rozkazująco. Mówiła „Może spojrzę na krowę niemogącą się ocielić?”, „Pokażcie no brzuch czy gorący -pomacam go”, „Trzeba by wam mieć zawsze w domu łój, pęcherzyk z żółcią od świnki, dziurawca także moglibyście nasuszyć i żabiej mięty - łatwiej tedy spędzać zimne i kobiece choroby”, I zamyślała się na dłużej i czasami tylko badawczo popatrzyła na któregoś z zasłuchanych. Kiedy któraś z krow nie mogła zlegnąć za dużego cielaka i męczyła się biedna prawie do padnięcia, posyłano po Reginę. Przychodziła, choćby w środku nocy. Przynosiła ze sobą lniane prześcieradło, kazała je dwóm babom przeciągać pod brzuchem cielnej, dwóm chłopom ciągnąć rytmicznie i delikatnie postronki uwiązane do cofniętych nówek cielęcia, a sama gładziła tylko umęczone oczy krowy. Po kilkunastu okrzykach chłopów „razem” - cielątko gładko wychlupywało z łona matki. Regina posypywała je bydłą solą i podsuszała do oblizania matce. Po kilku minutach prawie suche zaczynało niezdarnie i śmiesznie stawać na nogi. Regina starannie

## Daniel Ratz – I nagroda



składała prześcieradło, kłaniała się krowie i szła do domu dospać nocy.

Kiedy chorowały na gardło dzieciaki, że z flegmy i ropności całkiem się dusiły, kazała im pić mleko gorące z kilkoma łyżkami rozpuszczonego na krótko łożu wołowego -białego, jak śnieg, gardło okładała ugotowanymi w łupinach gorącymi kartoflami, utłuczonymi w pończosze. Pończocha - kartoflana kiszka trochę parzyła i przez kilka dni szyja była czerwona, ale choroba wychodziła.

Wiosną Regina urodziła dziewczynkę - maleńką, czarną i żwawą, nazwali ją z mężem Zosią. Na chrzcinach pojawiło się chyba ze stu sąsiadów z bliższych i dalszych okolic, przynieśli w podarkach kosze kiełbasy, samogon, ktoś przytachał ogromną dynię, ktoś parę królików, inny czarnego kotka. Pewnie z wdzięczności, o której zwyczajnie nie umieli mówić.

I te duże zgromadzenia u Reginy weszły w okolicy w nawyk. No bo i były święta Bożego Narodzenia z Wigilią, i Karnawał, i Post z Półpościem i wcześniejszym Popielcem, i Wielkanoc ze Świąconym, Rezurekcją i chodzenie po Dyngusie i Majowe przy Figurkach i dwa Odpusty w Duninowie (Dyjnowie) i Dożynki „do pypka, bo mało kimpka”. I Młócenie żyta Maszyną, i wykopki kartofli z odrobkiem, i ogniskami pełnymi gorących kartofli. No i przychodzili tedy na świętowanie do ubożego domu Reginy i robili składkowe bale, bo nieodmiennie zwali te uroczystości „balami”. Na „Półpoście”, przypadające dokładnie w połowie Wielkiego Postu , wieczorem wiejska młodzież (tylko chłopacy) obrzucała drzwi domostw pustymi butelkami, pecynami śniegu, zmarzłymi bryłami ziemi lub kamieniami. Szczególnie te domy, gdzie były dziewczyny do zamęścia. Poważniejszym gospodarzom wciągano na dach stodoły

## Daniel Ratz – I nagroda



wóz drabiniasty lub bryczkę czy sanie zwane „Kuligą”. Robiono to może dla chwili oddechu i żartów dozwolonych w tym dniu ścisłego postu w rozrywkach i w jedzeniu, może aby szybciej przegonić paskudny post z domów, gdzie do panien nie można było się w ten czas zalecać. Bano się nawet otwierać drzwi, a rankiem zamiatano całe sterty tłuczonego szkła czy ściągano pojazdy ze szczytów dachów. Nie pominięto kiedyś glinianej chałupki Czarownicy Reginki - wprawdzie córeczka Zosia nie nadawała się jeszcze do zalecań, ale pominięcie któregoś z domostw w tych tradycyjnych obrzędach uważano by za rodzaj afrontu dla gospodarzy, I tak jedna z butelek po gorzkim jak piołun piwie miast w drzwi trafiła w ścianę wybijając w niej krągłą niczym mała dynia dziurę aż do środka. Jako że wszystkie ziemia wokół była zamrznięta - Regina przykleiła w tym miejscu klejem z wiśniowej żywicy dwa w koło wycięte płaty pergaminu od wewnątrz i na zewnątrz, I zrobiło się z tej dziury niespodziewanie dodatkowe okienko. Trochę niewyraźne i mlecze, ale coraz częściej przyciągało do siebie wzrok gospodyni. Jeszcze z łóżka widziała różowo-pomarańczowy i mleczy poranek, później przymglone sylwetki przechodzących drogą. Na krwawy zmierzch przysuwała sobie do tej „pergaminowej dziury” taboret i wpatrzona zamyślała się aż po zmierzch. W tym oglądaniu odejścia dnia nieodmiennie towarzyszył jej znieruchomiały czarny kot. Tylko zielone lśniące ślepia i plaskający rytmicznie ogon świadczył, że posążek zwierzęcia żyje. I tak jakoś weszło w tradycję, że przychodzący po poradę czy po bezpośrednią pomoc do Czarownicy już na wstępie mamrotali pod nosem „Może by Reginka popatrzyła w pergaminową dziurę i co niebądź zapobiegła”, I Reginka patrzyła ipóźniej różne rzeczy radziła, i robiła, i odczyniała, i ziele dawała do



## Daniel Ratz – I nagroda



sparzania. A ziół miała moc i w rogach dwóch izb, i za kominem, i wiszące u belek i na jętkach na strychu. Wiedziała kiedy i jak je zbierać, jak suszyć - czy główkami do góry czy na dół. Czy naparzać mieszane ze sobą czy używać osobno. Wisiały więc wiązki dziurawca i dziewanny, piołunu i rozchodnika, szałwi i lubczyku, majowej pokrzywy i krwawnika. Pęczki suchych czarnych korzeni żywokostu i na herbatę - jednorazowe bukieciki żabiej mięty. Z jaskółczego ziela całą butlę ciemnego jak krwawa smoła soku, kilka woreczków żółciowych z zgęstniałą żółcią. W kamieniakach ubite liście babki i owoce żurawiny. W gąsiorze młode pędy sosenek zalane melasą cukrową i bimbrem. W woreczkach zmielona huba i grochowiny razem ze strączkami od fasoli. Wszystkiego miała według własnego rozumu i ludzkich chorobowych potrzeb.

Wiedziała, że niektóre zioła były jednak dobre dla zwierząt, jak i dla ludzi. Wiedziała też, kiedy zupełnie nie pomagały i dlaczego. Czasami wobec niektórych chorób długo milczała i długo patrzyła w „pergaminowe” okienko, by dziwnie władczo powiedzieć „Musicie się zmienić w siebie” i jakoś dziwnie gwałtownie odwracała od proszącego głowę. Mimo iż uważano ją za czarownicę była powszechnie lubiana i to w jej łaskawsze spojrzenie starali się wkraść prawie wszyscy. Wiedzieli, że bez jej porad czy pomocy nie sprostają strasznym chwilom. Kiedy Zosia miała siedem lat, a krzewy jaśminu i bżów rozrosły się prawie w drzewa, przyszła wojna. Leona wzięto do niewiadomo jakiego wojska, jak i kilku innych w okolicy. Podobno nie do wojska, tylko na front. Wieści o nich nie było żadnych, a żyć trzeba było mimo braku męskich rąk. Do wszystkiej pracy musiała starczać gospodyni - matka i dzieci od najmniejszego. Czasami Regina z Zosią musiały we dwie ciągnąć pług czy drabiniasty wóz, czasami

## Daniel Ratz – I nagroda



zaprzęgano do nich dwie, od dwóch sąsiadów, krowy. Było ciężko, ale kiedy to życie biednej wsi było lekkie?

Regina jako jedna z mądrzejszych była pytana o przyszłość - jaka będzie? Odpowiadała po długim „pergaminowym” patrzeniu „Niemcy miną, my w otoczeniu lasów i gór z piasku bezpieczni, jak w kołysce. Z chłopów z wojny nie wróci prawie nikt, a jak który wróci, to będzie jak obcy. A dzieciaki? Dzieciaki jak zwykle będą chodzić na grzyby, jagody, zimą na szyszki”. Nagle z zamyślenia pojaśniała jakoś i z uśmiechem dokończyła „A w czterdziestym piątym wszystkie pójdą do szkoły i do kościoła na naukę”.

Rzeczywiście, ich wieś oddalona od zajętego przez Niemców Duninowa o dobre cztery kilometry nie była prawie przez nich odwiedzana czy kontrolowana. Czasami przejeżdżali tylko konną grupką z kilkoma psami na polowania w pobliskim Ptaśniku. Wiedzieli, że w „gliniance” mieszka czarownica z córeczką, ale nic nie komentowali ani nie pytali, czasami nawet niektóry podjechał do płotu, aby się napić wody, która zawsze w cebrzyku z przywiązany doń kubkiem na specjalnej ławeczce czekała na podróżnych.

Kiedyś Reginę stojącą przy przydrożnym plecionym płocie zastali Niemcy wracający jakoś ociężale z polowania. Jeden z nich trzymał coś żywego w okrwawionej płachcie. Spytała krótko „Co to?” „A to psa mi ciężko poharatał i połamał osaczony dzik. Pewnie nie wyżyje, ale w lesie go przecież nie zostawię” i jakoś dziecinnie otarł łzy. „Ostawcie go u mnie, za tydzień się dowiadujcie” - powiedziała stanowczo, I Niemiec go zostawił -na odjezdnym wstydliwie powiedział, że pies ma na imię Brytan.

Zrobiła psu kąpiel w balii pełnej strąków po fasoli zalanej ciepłą wodą - przykazała mu w niej poleżeć dłużej i spokojnie - leżał

## Daniel Ratz – I nagroda



postępując boleśnie, tylko przez ciało przebiegały mu - jak na jeziorze drobna fala - dreszcze. Ugotowała mleka z wiązką konopi, w drugim garnku prażyła do rozgotowania skrobanego czarnego korzenia żywokostu. Wlewała mu do pyska na przymus ciepłe konopne mleko - cały litr, wyjęła z balii lecące prawie przez ręce zwierzę, osuszyła prześcieradłem. Susząc macała kostki psa, niektóre z nich prostowała, niektóre nastawiała kierując się skomleniem Brytana. Osuszonego okładała szarą, gorącą i szybko twardniejącą breją korzenia żywokostu. Szczególnie oblepiła cztery jego łapy, a i na żebra też przyłożyła po placku. Po dwóch godzinach masa stwardniała na cement. Regina przykryła stworzenie wyleniałą skórą z cielaka i zwierzę zasnęło. Po dwóch dniach przepajane miseczkami wody próbowało wstawać -przeszkadzał mu w tym jak z cementu żywokostowy pancerz - kobieta stawiała go jak jakiś szary posąg na sztywnych nogach na kilka godzin dziennie i tylko merdający ogon i przymilnie patrzące oczy w pokierszowanym pysku świadczyły o życiu posążka.

Po tygodniu Regina wystawiła psa na drogę, aby witał pana. I pan przyjechał, z radością wyczałował psa i Czarodziejkę. Kazała mu poczekać jeszcze z tydzień, po czym zgolić psu żywokostowy gips razem z sierścią tuż przy skórze. Zaglądał później Niemiec z Brytanem dość często do Reginy. Pies prawie wrócił do poprzedniej sprawności, tylko przednią łapę miał cokolwiek podkurczoną - używał jej przeważnie do stukania, jak człowiek, w zamknięte drzwi. Ale i na trzech potrafił zgonić niejednego szaraka i wytropić sporo.

Minęła wojna jak długa niekończąca się zima pełna zmartwień i beznadziei - Leon nie wrócił. Nie wiadomo było nawet czy poległ czy też doła zaniósł go w inne strony świata. Regina - Czarownica

## Daniel Ratz – I nagroda



witała wolność z Zosią, czarnym kotem, zapachem kwiecica wokół domu i życzliwością zubożałych o mężów sąsiadek i kobiet z dalszych okolic.

Zaraz po wojnie dość niespodziewanie pojawili się u Reginy jej bliscy - bo ze Świerszczów - kuzyni z Łodzi. Mieli duże mieszkanie w centrum miasta, obydwójce pracowali w fabryce włókienniczej, on był tam nawet brygadziwą. Jednego czego nie mieli, to dzieci. Zaproponowali, aby Zosia zamieszkała u nich, poślą ją do szkoły, później do fachu i będzie miała lepsze życie, jak tu na Rogatkach. Długo patrzyła w „pergaminowe” okienko, po czym krótko powiedziała „Niech jedzie”. Poglądziła dziewczynę po czarnej główce, przytuliła, ucałowała w czoło i Zosia pojechała do Łodzi. Przyjeżdżała później co wakacje do matki w długie odwiedziny ze swoją blondowłosą koleżanką Lilą. Miejscowi nazywali je albo „Łóckierki” albo „Anioły”- Do modnie ubranych i pięknie wyglądających zalecali się wszyscy okoliczni kawalerzy. Obydwie wyszły jednocześnie za mąż w Łodzi, jednocześnie miały dzieci i były nauczycielkami. Kiedy jakoś nagle i przedwcześnie zmarła Lilka, Zosia zaczęła coraz częściej zaglądać do kieliszka. Przytyła i zrobiła się sentymentalna.

Do wyzwolenia wołano na Reginę różnie: Regińcia, Babka, Znachorka, Kuma, a Niemiec, ten od psa mówił nawet na nią Królowa Lasu. Po wojnie, może z tego powodu, że praktycznie była wdową po Leonie nazywano ją krótko Kalwaska. I Kalwaską została już do końca życia. Posmutniało jej życie, coraz mniej potrzebowali jej sąsiedzi w leczeniu czy poradach. Do gminnego Duninowa sprowadzono na etat felczera i pielęgniarkę, objeżdżał także wieś kontroler - weterynarz z Gostynina i szczepił co popadło. Mało miała

## Daniel Ratz – I nagroda



zając Regina - Kalwaska, ot ubierała przydrożną kapliczkę, zajrzała na wieczór do sąsiadów, gdzie przy czarnej kawie Dobrzynce i plackach z kartofli pieczonych na blasze kuchennej zwanych „chlapoki” gwarzono do północy. Nadal suszyła coraz mniej potrzebne zioła i warzyła syropy. Od kiedy sprowadzono na jej wieś elektryczność mniej przesiadywała przy „pergaminowym” okienku. Narzekała, że od prądu przestała daleko widzieć.

Największą radość sprawiła jej kiedyś Zosia przywożąc w prezencie małe jak paczka zapalek radyjko „Koliber”. Radio było na baterie i córka przywiozła ich cały zapas (wyczerpane kładła Kalwaska na kuchenny ogrzewalnik, gdzie wygrzane służyły nadal jak nowe). Wystarczyło tylko podkręcić krągłą tarczą by usłyszeć prawdziwe głosy ludzi i śpiewy, i muzykę ze skrzypcami i harmonią - wszystko. Zaczęła Kalwaska uważać to radio za rodzinę i cały świat. Bo pewnie tak to naprawdę było. Czasami będąc nawet na „chałupkach” u Kuminków, Baranowskich czy u Felki Redlińskiej zwanej „Psitrą” -mimowolnie zaczynała się spieszyć do domu, aby tam wysłuchiwać do woli wszystkiego, co nadawało radio. O dziwo, w tym zawziętym słuchaniu radia towarzyszył jej zawsze kot, choć często wcześniej zasypiał przy dźwiękach muzyki czy ludzkich głosów.

Mimo upływu lat Kalwaska nigdy nie chorowała, wprawdzie posiwała i jakby trochę zrobiła się mniejsza, ale chód, gesty, mowę miała zawsze jednako energiczną i zdecydowaną. Może tylko coraz częściej „wchodziła w siebie” - jak mawiali sąsiedzi. Rzeczywiście, coraz częściej zamyślała się siedząc na ławeczce przy drodze, przed „pergaminowym” okienkiem, na skrzyni u sąsiadów czy słuchając radia. Może nawet nie było to zamyślenie, a tylko jakieś zamarzenie

## Daniel Ratz – I nagroda



o zmierzchu czy powolne odpływanie. Kiedy nie pojawiła się przez dwa kolejne wieczory u swojej sąsiadki Kuminkowej - także Reginy - ta zaniepokojona poszła do niej - wszystko stało się jasnym. W łóżku, z przyłożonym do ucha radiem z wyczerpaną baterią od całodobowego grania, leżała od wczoraj chłodna, ale lekko uśmiechnięta Regina Kalwas z domu Świerszcz. Dobry, życzliwy i pomocny wszystkim człowiek. Regina, Reginka, Czarownica, Znachorka, Pańcia, Babka, Królowa Lasu - postanowiła zwiedzić i poznać dalsze okolice aniżeli jej powszednie strony.

Na pogrzeb Reginy przyjechało i przyszło niespodziewanie dużo ludzi, chyba ze trzystu. Samochodami, bryczkami, ogumionymi wozami i pieszo. Dla trumny uszykowano specjalnie ukwiecony bzami, jaśminem i kaliną ogumiony dwukonny wóz bez zakładek. Okazał się niepotrzebnym - po kilkunastominutowej naradzie zgromadzonego chłopstwa w różnym wieku - trumnę dźwignęło sobie na ramiona czterech pierwszych i zmieniali się co czterysta metrów, i nigdy nie zabrakło chętnych, I płynęła Regina na barkach przyjaznych jej ludzi przez prawie cztery kilometry do kościoła i cmentarza w Duninowie. Z okolicznych domostw wychodzili starzy ludzie z ostatnim pożegnaniem dla Kalwaski „Szczęśliwej drogi Reginka” mówili, głaszcząc wieko. W kondukcie obok córki Zosi z rodziną pojawił się czarny kot, któremu Regina jakoś nigdy nie nadała imienia - szedł pracowicie przemierzając na sztywnych łapkach piaszczysty szmat drogi. Pochowano ją w cichej części cmentarza obok kilkusetletniej lipy pamiętającej jeszcze litewskiego Jagiełłę. Na grobie i wokół niego wyrósł łan marcinków przez nikogo nie sadzony i nie zasiany, i ozdabiają te drobne fioletowe kwiaty całą wiosną, latem, jesienią, aż do twardej zimy to miejsce, gdzie

## Daniel Ratz – I nagroda



utrudzona znachorka Regina śpi snem wiecznym. Podobno latem w wysokich krzewach marcinków wygrzewa się jakiś czarny kot. Miejscowi mówią, że to prawda, inni że to bajka. Może to i bajka, ale kto z nas nie lubi bajek czy kotów.

Gliniany domek Reginy na Rogatkach powoli zaczął się rozpadać - rozmoczyły go deszcze, rozkruszyły czas i wiatry. Wąski i długi na pół kilometra pasek ziemi przejęli sąsiedzi i wkrótce zaorali ruinę. Ocalał tylko ogromny krzak jaśminu i krzak bzu - rosną tam od przedwojnia na kilku skibach jakby jaśniejszej w tym miejscu ziemi. Oracze konni czy traktorowi omijają łukiem te drzewa - krzewy, aby nie naruszyć korzeni i miejsca. A one co roku darzą okolicę - wiosną i latem - kwiatami i zapachem.

## CZAS SPADAJĄCYCH GWIAZD

*Ujrzałem kometę,, zaśpiewać jej chciałem  
o lesie, o trawie, o wodzie, o śmierci co po każdego przychodzi,  
o miłości, o zdradzie, o świetle, o wszystkich ludziach  
co żyli na tej planecie...*

*Jaromir Nohavica, Kometa*

- Patrzcie, chłopcy! Patrzcie! - wołała mama. Sierpniowe niebo jarzyło się miliardami świecących punkcików. Niektóre z nich, najwyraźniej znudzone wiecznym trwaniem w okowach mroku, wyrwały się z pęt i rozpoczynały żeglugę po granacie przestworzy. Przędły za sobą świetliste smugi światła.

- Dokąd one tak pędzą, mamusiu? Czego poszukują? - spytał Robert.

To spadające gwiazdy, głupku! Zawsze w sierpniu to robią! No, powiedz mu, mamusiu! - starszy braciszek Leszek uważał, że wie wszystko lepiej.

Niby tak, Lesiu, niby tak... Tylko wiecie, mnie się wydaje, że letni deszcz spadających gwiazd ma swój głębszy sens. One na pewno chcą usłyszeć nasze ludzkie opowieści, o tym jak nam tutaj jest, jak sobie żyjemy pod ich seledynowym, czy może srebrzystym, a w każdym razie zimnym i oziębłym światłem... Pamiętajcie, chłopcy, trzeba zawsze opowiadać im o naszych marzeniach a nawet troskach. Może gwiazdy zaniósą je do baśniowego, lepszego świata, gdzie wszystko jest możliwe? Może one odpłacą wam tym samym i odpowiedzą na wiele pytań, byście łatwiej mogli sprostać życiu?

Sen czy tylko przebłysk myśli? Pewnie jedno i drugie... Tyle lat, prawie pół wieku! Co tam prawie? Przebiegłe okłamywanie samego



## Alina Mendrala – II nagroda



siebie nie przynosiło już rezultatu... Jeszcze kilka dni, kilka złych nieprzespanych nocy i, jak z bicza strzelił, minie półwiecze! Sierpień! Miesiąc - obdarzony piętnem nocy spadających gwiazd! Marzenia i słowa mamy.... Dawno o tym nie myślał i nie miał najmniejszej ochoty nikomu i niczego opowiadać.

Wszystko poszło nie tak... Przebrzmiałe chwile wciąż tańczyły w korowodzie niedokładności wspomnień i z wolna traciły zapachy. Gasł kolor nadziei. Tylko czasami słońce rozświetlało brudną szarość i nadawało intensywności wypłowiałym barwom minionych dni. Jednak te magiczne momenty jakoś szybko przeciekały przez palce ukrywając się w żałosnych ciemnościach. Coraz częściej z czerni nocy wypełzały sny o zdziwionych oczach i osiadały szronem na policzkach. Pierwsze chwile świtu szklily świat zbudowany z pozorów, tworzyły paletę ulotnych ale jakże prawdziwych dramatów...

Właściwie od śmierci mamy Robert najwyraźniej nie należał do ulubieńców Hypnosa, co też tak do końca nie było prawdą. Podobno jeszcze w kołysce mama wkładała mu pod poduszkę wysuszone makówki, by sprowadzić na dziecko zdrowy i twardy sen. Nie zawsze przynosiło to oczekiwany skutek. Później opowiadała mu bajki o tym właśnie mitycznym bożku - synu Nocy.

Bo widzisz, syneczku, ty też jesteś wyjątkowy! Urodziłeś się przecież w sierpniową noc spadających gwiazd... To one uczyniły cię swoim wybranym i musisz zawsze o tym pamiętać! A Hypnos mieszkał w skalnej grodzie, zaś jej wejście było szczelnie zarośnięte zerwonymi kwiatami maków, by nikt niepowołany nie zakłócał mu spokoju. Bóg snu lubił spać! Bardzo lubił! - śmiała się mama.

## Alina Mendrala – II nagroda



Wybraniec losu! Wybraniec gwiazd! Akurat! Koń by się uśmieiał! Niewątpliwie, nawet mityczny latający Pegaz złośliwym kopniakiem dodałby im za to niespodziewanej prędkości! - przebrzmiała myśl sprawiła jednak, że ze złości zazgrzytał zębami.

Może i Hypnos istniał, może był wielbicielem snu i zsyłał go na innych, jednak Robert najwyraźniej nie należał do tych wyjątkowych szczęśliwców. Bezsenne noce bywały niewyobrażalnie długie i straszne. Bez wieczornego drinka, wstydliwie w myślach zwanego mocarnym, sen przynoszący ukojenie jakoś nigdy nie nadchodził. Oczywiście, Robert podjął inne, bardziej racjonalne działania, po prostu poszedł do lekarza. Ten przepisał mu maleńkie różowe tabletki i autorytatywnie stwierdził, że białe noce to jedynie wynik stresu, przepracowania a różowe kuleczki dokonają medycznego cudu. Bzdura! Bzdura, jak wiele innych... Po zażyciu różowego medykamentu sny wcale nie przybierały radosnego kolorytu, a rankiem czuł się tak zakręcony, że najzwyczajniejsze działania sprawiały mu trudności.

Wczorajszy dzień niby niczym nie różnił się od poprzednich. Chociaż nie! Przecież dawno temu obiecał sobie, że trzy miesiące po osiemnastych urodzinach Daniela, pójdą razem z synem do salonu i Robert kupi mu ładny, modny ale też i bezpieczny samochód. Marzenie, kolejne marzenie podlegające życiowej weryfikacji. To jednak nie mógł być ten dzień! Szczerze mówiąc, nie każdemu pisana była taka chwila. Jedni zwyczajnie nie mieli funduszy, by w ten sposób uszczęśliwiać swoje dzieci, inni zaś - podobno ci bardziej kochani przez Stwórcę - zmuszeni byli patrzeć na cierpienia jedyne go syna... Jak Bóg!!! Jak sam Absolut!

## Alina Mendrala – II nagroda



-1 niech to wszystko szlag! Żadnych aspiracji do wielkości... Zero aspiracji do niczego! Tylko żyć chciałem normalnie! - westchnął ciężko i cichutko, bezradnie jak nieopierzony pisklak.

Tak dawno nie widział Daniela, nie wiedział nawet, co się z nim właściwie dzieje. Wszelkie rozpaczliwe działania spełzły na niczym. Nawet ten drogi detektyw zainkasował mnóstwo kasy ale nie potrafił pomóc. Bezsilność i tylko żal...

I jeszcze wczorajszy podły dzień! Zaraz na dzień dobry sekretarka wprowadziła go z równowagi. Długo nie mógł się uspokoić. Najbardziej zły był na siebie, no, może jeszcze bardziej na Rafała. Ten jednak miał szczęście i akurat nie zaszczycił biura swoją obecnością. Pani Kasia rzeczywiście cieszyła oko swoim wyglądem, miła, urocza, uśmiechnięta, szkoda tylko że o działalności firmy miała mniejsze pojęcie niż on o uprawie roli. Od kilku miesięcy nosił się z zamiarem, by zwolnić tę solarną idiotkę, ale Rafał wciąż o nią walczył. Robert podejrzewał, że przyjaciel ma z nią romans.

Kurwa, Rafał, dłużej tego nie wytrzymam! Zaczynam być rasistą! Sam wiesz, że nasza czarnulka nigdy i nic nie zrobiła właściwie! Jest głupia jak but! - powtarzał wielokrotnie.

Trzeba dać dziewczynie szansę, rozumiesz? Ona naprawdę się stara i z biegiem czasu wszystkiego się nauczy!

Tak! Tak, stara się! Chyba tylko o to, by wizualnie zmienić rasę! Już prawie wygląda niczym czarnulka z afrykańskiego buszu! Rzekłbym jeszcze, że wywodzi się niepiśmiennego i pierwotnego zupełnie plemienia!

Proszę cię, dajmy jej jeszcze trochę czasu! - upierał się przyjaciel.

Robert pasował. To była głupia walka i nie miała najmniejszego sensu. Codziennosc jakoś wypływała, otumaniała i oddziaływała

## Alina Mendrala – II nagroda



stromym urwiskiem rzeczywistość od wypełzających z mroku lękliwych cieni rozmazanych życiorysów... Z nieustannie popełnianych błędów wciąż wyrastały słowa podszyte leśnym wiatrem, dzikim, nieokiełznanym i wolnym... Tak naprawdę to już były tylko cienie słów, mgliste i zupełnie bezszelestne.

Wczoraj znowu solarna Kasia zgubiła teczkę z ważnymi dokumentami! Uśmiechała się głupio, kiedy on aż spąsowiał z wściekłości, i stwierdziła, że chyba sam diabeł przysiadł jej te papiery. Robert, sam nie wiedząc kiedy, sam się zamienił w onego diabła. Jak nic czekała go sprawa sądowa o mobbing, jak nic! Ta udawana murzynka pewnie jeszcze nigdy nie usłyszała o sobie całej prawdy, o swoim całkowitym braku umysłu a nawet hipotetycznych kwantów inteligencji. Rozpłakała się i wyszła bezczelnie trzaskając drzwiami, omal nie wyleciały z zawiasów. Dwie godziny później zadzwonił dobry Rafałek i tak go molestował, prawie błagał... Koniec końców Robert musiał przeprosić skrzywdzoną panienkę, obiecując sobie w duchu, że od jutra rozpocznie tajemnicze poszukiwanie kompetentnej sekretarki.

Jeszcze i to na jego barki, jeszcze i to! Chociaż właściwie z innymi problemami w zasadzie dawał sobie radę, z prawdziwymi problemami, takimi sprawami podkuwał buty jedynie maleńką szczyptą ołowiu. Ciężar nie był zbyt wielki, jakoś dawało się zbierać racjonalnie myśli i chodzić bez większego wysiłku. Spółka z Rafałem prosperowała zupełnie dobrze i przynosiła całkiem niezłe profity. Nawet małżeństwa z Iwoną nie miał odwagi zbyt krytykować. Nie było przecież tak źle, nie było.... I razem spłodzili Daniela - największy wspólny skarb i cel życia.

## Alina Mendrala – II nagroda



A jednak? Coś najwyraźniej nie grało, skoro sen nigdy nie ubierał lekkich, eterycznych skrzydełek, nie szeptał uspokajających kołysanek, nie dawał odpoczynku na kolejny dzień pełen przykrych niespodzianek. Na pewno

*Kochana mamusiu!*

*Widzisz? Już umiem czytać i pisać! Pani mówi, że jestem bardzo zdolny i stawia mi najlepsze oceny. Leszek też się nieźle uczy, tylko z liczeniem nie może sobie poradzić. Ale tatuś mu dużo pomaga. Wiesz, mamusiu? Przeczytałem sam już wszystkie bajeczki, które Ty mi dawniej czytałaś na dobranoc. I tak sobie myślę, że świat wcale nie jest taki zły... Mam koleżankę Anię i strasznie lubię się z nią bawić, choć Leszek się ze mnie nabija. A wczoraj była u nas ciocia Marta i piekła ciasto. Znów w domu pachniało migdałami, jakbyś wróciła do nas. Szkoda, że tatuś miał czerwone oczy i szybko uciekł do sypialni. Było przecież tak miło! O wszystkim będę Ci opowiadał, mamusiu, naprawdę o wszystkim!*

*Twój synek Robert*

Zmiętolona karteluszką, skrycie wyjęta z kieszeni krótkich spodenek, parzyła dłonie. Migdałowy zapach - najpierw intensywny, głęboki i pełen sugestywnych, wyraźnych obrazów - powoli rozptywał się w przestrzeni. Najpierw oplatał ogniki świec, tańczył w wypłowiałej barwie sztucznych kwiatów a później unosił się do góry, wprost w zielone listki cmentarnych brzoź. Za szybko! Po chwili nie było już po nim nawet śladu.

Wanielijka. . . Cały magiczny ceremoniał. Najpierw trzeba było obejść trzykrotnie święte miejsce a później zakopać karteczkę w ziemi, by nikt jej nie znalazł. Tylko wtedy mogła spełnić swoje zadanie.

## Alina Mendrala – II nagroda



Robert sam nie bardzo wiedział, dlaczego ta opowieść dziadka Michała nabrała dla niego w tych trudnych dniach tak wielkiego znaczenia... Dziadek urodził się w Jaszczurowie u podnóża Świętej Góry Chełm na Podkarpaciu. Na samym szczycie góry stała drewniana kapliczka i rosła stara lipa, która nikomu nie pozwoliła się ściąć, bo zaraz płakała krwią a w okolicy ukrywał się Król Węży w złocistej koronie na głowie. Był czarodziejsko potężny i niebezpieczny. Podobno dziadek raz go spotkał, właściwie dostrzegł jego ślepią błyszczącą w ciemności, jednak Żmij nic mu nie zrobił, bo się nabożnie przeżegnał a następnego dnia popędził do spowiedzi i komunii. Właśnie pod tą kapliczką na Chełmie ludzie zakopywali wanielijki, tylko że były one raczej prośbami o urodzaj, o ochronę plonów a nie listami do zmarłej mamy.

Jakoś nie miał ochoty opowiadać o tym wszystkim mamie. Właściwie od bardzo dawna nawet o niej nie myślał. Tylko dzisiaj... Znowu ten sen pełen łez i dzieciennego żalu. Jeszcze chwilę po przebudzeniu zdawało mu się, że mocno ściska w dłoniach pomięty skrawek papieru, ukrywany przed innymi - liścik do mamy.

Od jakiegoś czasu Robert budził się o tej samej porze - skoro świt, nieśmiałym brzaskiem... Natychmiast zakładał okulary i dłuższą chwilę przypatrywał się śpiącej żonie. Sprawiało mu to jakąś perwersyjną wręcz przyjemność. Z dala od toaletki, od drogich pachnących upiększaczy Iwona wyglądała staro i bezradnie. W zmęczonym pochrapywaniu zupełnie rozmywała się jej udawana siła, doskonałość i pęd ku nieśmiertelnej młodości. W takich właśnie chwilach odżywało w nim dawne uczucie. Czuł, że nadal naprawdę ją kocha, pomimo wszystko... Pomimo jej i własnego obłądu!

## Alina Mendrala – II nagroda



- Zrób coś ze sobą! Całkiem się zapuściłeś, wyglądasz jak stetryczały dziad! Robi, nie możemy swoim wizerunkiem straszyć innych! Tego wymaga zwyczajna kultura. Weź przykład z Rafiego, on to dopiero wygląda! - tej nieszczęsnej formułki Iwona nie szczędziła mu każdego dnia.

Na samo wspomnienie robiło mu się niedobrze i ulatywały lepsze uczucia. Ponad dziesięć lat temu on i jego przyjaciel zostali przechrzczeni przez żony, zupełnie niewiadomo dlaczego. Ze zwykłego Roberta i Rafała przemienili się naraz w dziwacznym i obcych facetów. Teraz byli Robim i Rafim, jakby tamci dwaj umarli, albo nawet wcale nie istnieli. Może rzeczywiście tak było? Fakt, Robert przecież nie wstydził się piwnego brzuszka, bezwstydnie wylewającego się za pasek ani światła, które przenikało przez wspomnienie bujnej czerni włosów, a Robi niestety musiał... To obce dziwaczne przepoczwarczenie miało całą masę skutków ubocznych. Starał się o tym nie myśleć, bardzo się starał.

Widocznie tak już musiało być... Codziennosc... Jeszcze żył! Normalny wzwód, wciąż piekielnie gęsty, twardy zarost i pełna gama wcale nie stetryczałych marzeń ... Każdego ranka stawał przed lustrem do golenia, robił kilka przerażających wykrzywień do swojego odbicia i dochodził do wniosku, że wcale nie jest tak źle. Inni na pewno miewali gorzej. Z błyszczącej tafli oświetlonej jaskrawą poświatą energooszczędnej świetlówki patrzyła na niego własna twarz. Całkiem przywoita twarz mężczyzny w średnim wieku. Zmarszczki - znamiona przeżytych lat może i nie były nazbyt budującym widokiem, jednak na pewno nie powinny w nikim wywoływać wstrętu.

## Alina Mendrala – II nagroda



Zresztą, ta nastoletnia galerianka, która omamiła go w Centrum Handlowym, jakoś nie miała żadnych oporów. Być może zadziałała jedynie znajomość psychologii, ale mogło być w tym coś więcej. Egoistycznie wolał preferować tę drugą opcję. Słodka Asieńka bez żadnych oporów zainkasowała pięćset złotych, bo akurat jako niedoświadczony prawiczek zdrady na tyle właśnie wycenił jej usługi, i gotowa była uznać go za boga. Wynajęty obskurny pokój w tanim hoteliku niespodziewanie zamienił się w najprawdziwszy Eden rozkoszy...

Czy było warto? Na pewno! Robert nawet nie wyobrażał sobie takich erotycznych doznań... Próbował później wprowadzić pewne udoskonalenia do małżeńskiej sypialni, jednak Iwona tylko znacząco pukała się w czoło.

- Robi! Najwyraźniej andropauza uderzyła ci na mózg! Daj ty mi spokój! Ostatnie próby samczych podrygów! Nie mam zamiaru brać w tym udziału!

Podniecenie pryskało natychmiast, uchodziło z niego niczym z przekłutego balonu, a wypełniała go wściekłość. Na końcu języka miał opowieść o pięknej galeriance, jednak rozsądek zawsze w porę go powstrzymywał. Do niczego nie była mu potrzebna awantura z żoną, może ciche dni, a może nawet i rozwód. Kto wie, co Iwona mogła wymyślić za tę jedną jedyną niesubordynację? Wolał tego nie sprawdzać. I tak miał dość problemów!

A przecież starał się żyć zwyczajnie, prawie że zgodnie z wpojonym Dekalogiem... Miał nadzieję, że drobne grzeszki czy maleńkie podłostki nie wpłyną zbyt mocno na jego wieczną przyszłość. Nadal nie utracił wiary, którą wpoili mu mama, pomimo całkiem niezrozumiałych okoliczności, kiedy to niby uświęcony kościół



## Alina Mendrala – II nagroda



jaownie bratał się z ciemną stroną mocy. Popularne Radio Maryja, plus przerażające wypowiedzi niektórych hierarchów kościelnych oddzielały stromym urwiskiem Boga od ludzkości i plamiły wszelkie dogmaty.

Pierwsze chwile świtu na pograniczu ociążały koszmarów i jeszcze gorszej jawy zaczynały tętnić gorączkowym pośpiechem. Zupełnie niepotrzebnie, bo przecież wciąż trwała ogromna kropla niezagospodarowanego czasu, by powoli, z namaszczeniem rozprostować zeszywniałe zawiasy stawów i spróbować odpowiednio ustawić kadry nadchodzącego dnia. Pół wieku surrealistycznej groteski nauczyło go tego dostatecznie i nawet dłonie - nadal pachnące ciastem migdałowym z przebrzmiałych wzruszeń - nie powinny naruszać schematu.

- Przestań się tak wiercić! Która jest godzina? - spytała Iwona nawet nie otwierając oczu.

- Wpół do piątej! - odparł z niezwykłym staraniem, by jego głos zabrzmiał łagodnie, bez zniecierpliwienia.

Granatowa ałłasowa pościel zaczynała go parzyć. Swędziało całe ciało. Zapragnął naraz jeszcze raz wtulić się w wykrochmaloną białą poduszkę pachnącą wiatrem i lawendą. Mama zawsze wkładała do szafy wysuszone kwiatuszki lawendy pomiędzy wyprane i wyprasowane bety...

Robi! Skoro nie możesz spać, wstań, do jasnej cholery, i daj spać mnie!- warknęła w końcu Iwona.

Przepraszam, kochanie! - westchnął i szybko opuścił małżeńskie pielesze. Wciąż dziecięca zieleń odległego lasu zaglądała mu w oczy, a nocne ptaki żegnały ciemność, huśtając się na skrzydłach baśniowego wiatorku.

## Alina Mendrala – II nagroda



A miało być tak pięknie! Podobno każdy był kowalem swojego losu i żył - tak jak chciał... W każdym razie taką nirwanę obiecywała niegdyś mama. Kojarzyła mu się z szeroko otwartymi wrotami lasu, z zapachem czeremchy, z polnymi serenadami wiatru, z wiarą, nadzieją i miłością. Tęsknota jakoś nie mijała... Bywały przecież chwile, kiedy zupełnie bezwiednie, prawie bez udziału rozumu, zastanawiał się, co powiedziałyby mama na niektóre z jego postępków i działań. Najlepiej byłoby, gdyby o niczym nie miała pojęcia!

Chociaż tak często śniło mu się jeszcze, że jak kiedyś bawi się jej grubym warkoczem o barwie dojrzałego łanu pszenicy i wierzy każdemu jej słowu... Po przebudzeniu niczym kolec uderzała go racjonalna myśl, że mama była zbyt młoda, zbyt niedoświadczona, by wierzyć jej tak bezkrytycznie. Miała tylko siedemnaście lat, kiedy wyszła za męża i urodziła Leszka. Robert przyszedł na świat półtora roku później... Gdy odeszła, był małym przerażonym dzieciakiem i dopiero zaczynał mozolnie, z językiem wystawionym na brodę, składać z literek swoje pierwsze zrozumiałe wyrazy.

Kompletnie nie rozumiał co się dzieje, absolutnie nic! Najbardziej bolało go to, że babka obcięła mamie te piękne pachnące włosy... W trumnie leżała jakby zupełnie obca osoba. Biała, zimna, milcząca, w czarnym kostiumie i bez kochanego warkocza. A przecież mama nienawidziła czerni, nie miała takich ubrań...

- Pocałujcie matkę na pożegnanie! - szarpała ich babka.

Leszek wykonał polecenie, on jakoś nie potrafił się przemóc. Zresztą nie wierzył, że mama tak po prostu go opuściła. Babka uszczypnęła go mocno w ramię i siniak przez dłuższy czas zmieniał barwy... Jak jego życie, zupełnie tak samo! Czuł się wtedy tak okropnie, że lada moment mógł zacząć głośno krzyczeć i kopać po

## Alina Mendrala – II nagroda



łydkach napuszonych powagą żałobników. Szczęśliwie zauważyła to ciocia Marta - starsza siostra mamy i mocno go do siebie przytuliła. Podczas całej ceremonii ani na chwilę nie wypuściła jego rączki ze swojej dłoni. Płakała. Bardzo płakała, ale co jakiś czas głaskała go po główce i tuliła. Płynęła od niej prawdziwa miłość i zrozumienie.

Robert pragnął, by nigdy go nie opuszczała! Ciocia została z nimi jeszcze przez tydzień, potem musiała wrócić na Śląsk, do swojej rodziny. Nie pomógł rozdzierający płacz ani bezwstydne czepianie się ciotczynej spódnicy. Została z nimi surowa babka i ojciec o pustych oczach, na którego przez długi czas nie można było liczyć. Śmierć mamy zmieniła go do tego stopnia, że przestał zauważać swoich synków. Chociaż nie do końca... Dostrzegał ich raz jeden w ciągu dnia o Szarej Godzinie. Kiedy mrok z wolna połykał światło, a mroczne cienie wypełniały gryzącą tęsknotę, tato brał obu synków za rękę i bez zbędnych słów prowadził na cmentarz. Przez kilkanaście minut stali w milczeniu przy grobie mamy, patrzyli na jej okropne zdjęcie, na sztuczne spłowiełe kwiaty, zapalali świeczkę, a potem, tak samo bez słów, wracali do domu.

Wtedy Robert wciąż miewał koszmary, budził się nocą i przeraźliwie krzyczał. Zwykle interweniowała babka i solidnym kłapsem uciszała jego lęki. Umarła rok po mamie, a on doszedł do wniosku, że na pewno jest po Ciemnej Stronie Mocy, bo nie odczuwał żadnego żalu, raczej pewien rodzaj ulgi. Nabierał coraz większej pewności co do potęgi diabła, który wkradł się do jego duszy i nakłonił go do radości z odejścia babki. W tym wszystkim był jeszcze jeden wielki plus... Tato zmuszony został do pogrzebania swojej rozpacz i powrót do życia. Dostrzegł naraz, że jego mali synowie bardzo go potrzebują i staną na wysokości zadania.

## Alina Mendrala – II nagroda



Tak, tato był wspaniałym człowiekiem, najlepszym ojcem. Zupełnie inaczej niż on! Nie spełnił się w tej roli, chyba w żadnej nie osiągnął doskonałości. Minęło już sporo czasu od tego straszego dnia, kiedy Daniel odszedł, kiedy wyraźnie wyartykułował, że nie chce mieć z nimi absolutnie nic wspólnego. Z nimi, czyli z rodzicami... Czas jakby się zatrzymał, zanurzył w niezrozumiałej mgle. Podobne do siebie dni - pełne nieistotnych przyzwyczajęń, prawie bolesnych nawyków - straciły swój niby ważny wymiar. Nawet azylu już nie było, bo braciszek tak się przejął rolą dziedzica rodzinnej schedy, że zburzył drewniany domek, w którym obaj przyszedli na świat, a na jego miejscu postawił monumentalny, obcy, ceglany gmach. Właściwie nie miała sensu rozpaczliwa wizyta, chęć powrotu do źródeł, do korzeni... Robert jednak pojechał.

Leszek nachalnie pokazywał wszelkie udoskonalenia i wciąż się domagał pochwał. Zupełnie obce miejsce, gdzie nawet uprawomocnione przez lata wspomnienia jakoś traciły barwę. Następowwała niespodziewana korekta braterskiej jedności i znów świat stawał na głowie. Inaczej, znacznie trudniej...

- Spieprzyłeś to bracie! Kompletnie spieprzyłeś! Co więcej mogę powiedzieć? - Leszek jakoś całkowicie stracił dar wymowy, kiedy Robert zwierzył mu się ze swojej tragedii.

-1 wiesz co? Nie chcę cię dołować ale tego nie da się już naprawić!

Niby Robert sam o tym doskonale wiedział, jednak brat zburzył mu wszelką dziecięcą iluzję, że tutaj, w domu, jak zwykle otrzyma wsparcie i pomoc, że da się odwrócić kadry zła albo chociaż częściowo zniwelować ich niszczące działanie. Cienie dawno wyciętych drzew w owocowym sadzie ojca zatańczyły, zawirowały nagle przed oczyma. Powietrze zadrżało od świerszczy.

## Alina Mendrala – II nagroda



Leszek? Czy ty kiedykolwiek wierzyłeś w te bzdury, że jestem gwałticielem? Błagam, powiedz mi, tylko tak zupełnie szczerze! - nagle, po tylu latach niepewności, zdobył się na to pytanie.

Oszalałeś? Tato na pewno by mnie za to zabił! Walczył przecież do śmierci o twoją niewinność! Nie! Tak naprawdę, nigdy nie miałem najmniejszych wątpliwości. Robert a mama?

Co mama? Co niby ona miała z tym wszystkim wspólnego? Nie żyła wtedy od dawna!

- Wanielijki!

-Co?

- Nie udawaj głupiego! Nie wiedziałeś, że tato wszystkie je wygrzebał i skrzętnie ukrywał na strychu? Kiedy je znalazłem, powiedział, że po prostu zrobił to z obawy. Zwyczajnie bał się, że ktoś ze wsi je znajdzie. Nie zakopywałeś ich widocznie zbyt głęboko. Dziwna mina brata i jego słowa sprawiły Roberta w osłupienie.

Jeszcze i to! Ojciec zadbał nawet o głupie dziecinne karteczki, pomimo tego, że owdowiał w młodym wieku, został sam z małymi dziećmi, klepał biedę, choć pracował bardzo ciężko. Nie miał żadnego wykształcenia, ot, prosty chłop ze wsi... A on? Szanowany pan inżynier, zawsze na kierowniczym stanowisku z pełnym portfelem, niby inteligentny, wrażliwy, czytany - w sumie głupi jak but. Niczego nie zauważył! Niczego! Przecież musiały być jakieś widoczne przesłanki, że z Danielem dzieje się coś złego. Musiały!

Spojrzał na rozgwieżdżone niebo, jakby stamtąd oczekiwał pomocy. Tyle gwiazd, a każda miała swoją własną drogę do przebycia w czasie i swoje przeznaczenie. On pewnie też, pewnie właśnie takie, by nie sprawdzić się w roli ojca! Daniel - jego jedyny syn, największa miłość i nadzieja na okpienie śmiertelności. Poczuł

## Alina Mendrala – II nagroda



nagle, że wieczorna rosa przemoczyła mu buty. Poczłł ją także na rzesach.

Może zapalisz? - Leszek łagodnie dotknął jego ramienia.

Chętnie! Co mi pozostało? - westchnął. Nie palił od dnia urodzin Daniela. Mieli wtedy dość małe mieszkanie, a lwona twierdziła, że teraz muszą naprawdę wydoroeć, bo sę odpowiedzialni za nowe życie, za tego małego człowieka. Oboje rzucili palenie i wiele innych przyjemności... Dni skupiły się na uśmiechach i gaworzeniu synka. Wtedy Robert zaczął pracować więcej, dłużej, wydajniej, miał przecież wielki cel. Miał syna!

Leszek? Czy ty coś zauważyłeś? Czy według ciebie źle wychowywaliśmy Daniela? - spytał brata, gdy dym z papierosa uniósł się wysoko do góry i zakręciło mu się w głowie.

Szczerze mówiąc, nie wiem... Tak naprawdę, o wiele więcej wiem o Rafale, niż o tobie i twoim życiu. Częściej mnie odwiedzał. Czasem coś tam o tobie mówił... – łysina Leszka jakoś złośliwie zaśniła w świetle księżyca.

-Co?

Same ogólniki, no, może tylko poddawał delikatnej krytyce całkowite podporządkowanie twoje i lwony rozwijaniu talentów waszego syna!

Daniel był utalentowany! Był! Nadal jest! W wieku ośmiu lat grał na pianinie niczym mistrz! Pisał wiersze! Wygrywał zawody pływackie! We wszystkim był najlepszy! Wiesz, on znał perfekkt cztery języki! - Roberta ogarnął nagły gniew na brata, jakby to on ponosił winę za wszelkie niespełnienia jego życia.

Leszek jakoś skulił się w sobie. Zmałał, przygarbił. Niespodziewanie zapachniała lawenda mamy. Wieczorna cisza

## Alina Mendrala – II nagroda



rozzańczyła się nagle przebrzmiałym staccatem zbyt ważnych słów, by je tak po prostu zapomnieć.

- I nigdy już nie będziecie sami! Rozumiecie, chłopcy? Zawsze będziecie mieć siebie, nawet wtedy gdy mnie i ojca już nie będzie!

Prawda zapłakała na bursztynowych ściemiskach pomiędzy ciszą a stłumionym krzykiem dławiącej rozpacz. Tylko czy to rzeczywiście była prawda?

- Pytasz, więc odpowiadam... Słuchaj, stary, Daniel jest jeszcze bardzo młody, może się opamięta? - po dłuższej chwili milczenia westchnął Leszek.

Robert poczuł naraz, że ma ochotę przytulić się do brata i zwyczajnie wypłakać się w jego ramionach. Tylko niczego nie mogło to już zmienić. Być może właśnie Daniel dogorywał samotnie w jakiejś obskurnej melinie, zaćpany na śmierć...

- Nie myśl o tym idioty! Poszukaj lepszych wspomnień! Nastaw się pozytywnie! - zgodnie z zaleceniami psychoterapeuty upomniał sam siebie.

Biegła do niego szybko, niczym w najpiękniejszym śnie. Ubrana w pory roku i dziewczęcy nieśmiały uśmiech. Zawsze niosła ze sobą zapach jaśminu i konwalii, nawet jeśli wokół Pani Zima skrzyła świat diamentową bielą. W pobliżu rozstajnych leśnych dróg, gdzie spotykali się najczęściej, Ania stawiała się obrazem - najdoskonalszym kadrem zatrzymanego nagle filmu, który bezprawnie okpiwał skończoność czasu... Oddech w piersiach zamierał z zachwyty... Niebo spływało na ziemię...

Jesteś, Aniu! Wreszcie jesteś! - bełkotał głupio, niezmiernie uszczęśliwiony.

## Alina Mendrala – II nagroda



No, coś ty, przecież wcale się nie spóźniłam! - uśmiechała się przekornie.

Wiem, wiem! Tylko ja tak czekałem, bo chciałem ci coś pokazać! Patrz! Ojej, nie na mnie, spójrz na niebo! Przecież dzisiaj jest noc spadających gwiazd! Pomyśl marzenie! Musi się spełnić!

-I ty w to naprawdę wierzysz?

-Naprawdę!

Oboje zadarli głowy do góry. Paleta granatowego nieba jarzyła się miliardami lśniących światełek. Dumny jak paw księżyc wyprowadził na nocną straż swoją gwieździstą świtę. Blask światła zdawał się połykać mrok... Prerażone cienie kryły się w kropelkach rosy dzikich traw sierpniowego wieczoru. A spadające gwiazdy przędły za sobą długie świetliste wstęgi, zacierała się granica baśniowych złudzeń z rzeczywistością i można było prawie dotknąć wiary w spełnienie wszystkich marzeń.

Robert zamknął na moment oczy. Chciał zatrzymać pod powiekami nie tylko piękny obraz tej chwili, ale także uczucie szczęścia i doskonałości świata. Na zawsze, na potem, kiedy będzie inaczej, trudniej...

- Nie! To bzdury! Marzenia nigdy się nie spełniają! - krzyknęła nagle Ania i niespodziewanie, nie oglądając się za siebie, odbiegła w noc.

Był tak zdumiony, że nawet nie próbował jej gonić. Już było inaczej, już było trudniej ...

Pierwsza miłość, pełna błękitnych myśli i muzyki. Każda nuta rozpalająca młode serce. Leśna polana w zielonym aksamicie traw, radośnie śpiewający wiatr i słodka woń jaśminu. Ania o pszenicznych warkoczach, z przestworzem nieba w spojrzeniu, miała twarzyczkę



## Alina Mendrala – II nagroda



aniola. Chodzili do jednej klasy, ale dopiero po skończeniu podstawówki odkryli w sobie ten magiczny magnetyzm. Kiedy dotykał jej dłoni, wydawało mu się, że tętni nie tylko krew w jego żyłach ale cała ziemia... Otumaniał zapach kadzidła szczęśliwości.

Rafał nie rozumiał zauroczenia przyjaciela i ciągle mu powtarzał, że Ania jest dziwaczką. Robert nie chciał tego słuchać. Zerwał kontakty z kolegą do tego straszego dnia, kiedy niebo przysłoniły olbrzymie skrzydła czarnego kruk.

W wakacyjny niedzielny poranek tato obudził chłopców wyjątkowo wcześnie. Na stole w kuchni parował rosół i cieszył oczy świeżo upieczony sernik. Obaj z Leszkiem oniemieli ze zdumienia. Czyżby jakieś święto? Ojciec raczej nie rozpieszczał ich jadłospisem, choć lata praktyki uczyniły z niego niezłego kucharza.

Co to? Jakiś świąteczny cud? - ucieszył się Leszek, jednak dosyć podejrzliwie popatrywał na ojca.

A, zaraz święto! Jakbym niby nie dawał wam jeść! Ostatnio chłopaki zjadacie mnie z korzeniami! Po prostu spać nie mogłem - uśmiechnął się tato, choć w jego głosie nie było wcale radości. - Jedzcie, chłopaki, szybko, bo dziś jedziemy z wizytą do cici Marty.

Tak niespodziewanie? Czemu wczoraj nic nie mówiłeś? - oburzył się Robert. Był przecież umówiony z Anią, nie mógł jej zawieść.

I wtedy stało się coś zdumiewającego! Tato podszedł do niego i mocno go przytulił, a przecież nigdy nie był skłonny do okazywania babskiej czułości. Żyli we trzech, bez żadnych kobiet, twardo i po męsku... Bez niepotrzebnych czułości, głaskania i miękkich słówek. Na dodatek ojciec jakby nie widział zdumienia w oczach synów...

- Uwierz mi, synku, tak będzie najlepiej!

## Alina Mendrala – II nagroda



Nie było! Wcale nie było! Nawet serdeczna ciocia Marta nie potrafiła wytłumaczyć ani złagodzić bólu... Ania powiesiła się o świtaniu w stodole rodziców... Później okazało się jeszcze, że była w czwartym miesiącu ciąży! Czarny kruk na niebie krzyczał rozpaczliwie i wciąż się rozrastał. Robert tonął w niepojętym koszmarze. Nie widział już wschodzącego słońca, lato straciło zapach, podobnie jak życie.

Nie było Ani, za to ogrom plotek i podejrzeń. Pod powiekami wakacyjnych świtów ciągnano go na przesłuchania, wpierano ojcostwo, a nawet gwałt na dziewczynie. Gdyby nie tato, Robert pewnie powiesiłby się jak Ania, przecież miał tylko piętnaście lat.

Tato! Często trzymałem ją za rękę a jeden jedyny raz udało mi się pocałować ją w usta! To nie był gwałt, przecież Ania się zgodziła! I z tego nie ma dzieci! - sam płakał niczym maleńkie dziecko i patrzył ojcu prosto w oczy.

Wiem, synku, wiem! Wszystko rozumiem! - tato od razu mu uwierzył i nie pozwolił go skrzywdzić.

Do liceum wysłał go już do Katowic, pod matczyną opiekę cioci Marty. Tam też Robert skończył studia... Potem poznał Iwonę, zakochał się i znowu zaczął żyć...

Rzadko przyjeżdżał do domu, bo tam zwykle, pomimo upływu lat, osaczały go straszne wspomnienia. Zresztą, piętno gwałciela, właściwie mordercy, które ciągle wydostawało się ze spojrzeń sąsiadów i znajomych, jakoś zupełnie bezwiednie nieprawdy zaklinało w prawdy. Nawet przy grobie Ani, choć chodził tam coraz rzadziej, czuł ten dyskomfort, to niezasłużone potępienie. Niby tańczył czas, zmieniały się zapachy i ludzie, bo dorosłość każdemu nakazywała przejrzystszy wgląd w siebie, jednak stereotypy

## Alina Mendrala – II nagroda



dawnych nawyków bywały niepokonane. Dziwacznie niezmiennie! Rodzice postawili Ani marmurowy nagrobek ze smutnym aniołkiem, a z fotografii spoglądała na smętną nekropolię i na niego twarz dziewczynki o nieprawdziwym uśmiechu... Nie mógł tego znieść.

Im bardziej on się zmieniał, tym młodsza wydawała mu się Ania. Dziecko, zupełne dziecko! I wiecznie otwarte pozostawało przerażające pytanie — dlaczego?

- Kiedy czegoś się bardzo, ale tak bardzo, bardzo, pragnie, zawsze się musi spełnić! - kiedyś często powtarzała mu mama.

Robert ufał jej bezgranicznie i najbardziej pragnął, by wyzdrowiała i zawsze już była z nimi... Daremnie! Mimo wszystko sam mamił Daniela podobnymi baśniami, przecież dzieciństwo było zbyt krótkie, by karmić je jeszcze ulotnością nadziei. Dorośli powinni dodać jej mocy i wiary, pokolorować jarmarcznie przezroczyście skrzydełka...

- Kurwa mać! To jedno mi się chyba tylko udało! - nagle dotarła do niego straszna myśl.

Daniel poważnie, nawet ambicjonalnie potraktował słowa ojca i ostro wziął się za barwienie świata. Szkoda tylko, że użył do tego celu farb z najniższej półki, bo tak po prostu było najłatwiej... A jeśli pociągnął go intensywniejszy i szybszy koloryt? Cholera wie! Inny czas, inne realia. Może gdyby Robert posiadał możliwości swojego syna, postępowałby tak samo?

Aniu? A gdybyś mogła wszystko? Ale tak naprawdę wszystko! Co byś zrobiła? - spytał kiedyś pod starym dębem. Nie chciał jej mówić, że on sprawiłby takie manto Bogu, że ten pobity i przestraszony przywróciłby mamę do życia. To było głupie i dziecinne, zupełnie nie nadawało się do zwierzeń.

## Alina Mendrala – II nagroda



Co bym zrobiła? Nie uwierzysz! - roześmiała się dziewczyna. Jej chichot zdawał się tańczyć wśród liści prastarego drzewa, nawet pośród paprociowych łodyżek jedynie baśniowego szczęścia.

Moim największym pragnieniem byłby cud nienarodzin! Rozumiesz? Wiem, że nie! Trudno... Czasem tak sobie myślę, że i Chrystus też nie miał na to najmniejszej ochoty, o ile biedak wiedział, co go czeka...

- Ale dlaczego? - przez chwilę w ogóle nie wiedział, co myśleć. Jakby przez jego umysł przeszedł jakiś tajfun z niszczącą siłą i zniszczył wszystko, roztrzaskał nawet rozsądek...

Gorąca kawa parowała jak zwykle, jednak miała dziwny metaliczny posmak. Wypił jeszcze jeden łyk i skrzywił się z niesmakiem. Co za cholerny czas! Tyle razy to już przerabiał a ciągle nie mógł się przyzwyczaić... Sierpień - wakacyjny miesiąc, upał i urodziny... Powinien wyjechać na zasłużony wypoczynek, oderwać się od tego wszystkiego, unicestwić niskie instynkty, zapomnieć o nierównościach życia i zwyczajnie cieszyć się, że jeszcze jest. Pół wieku, całkiem, całkiem spory okres! Szkoda, że nie mógł sobie pozwolić na zasłużony wypoczynek, nie teraz. Może końcem września? Aż się uśmiechnął do tej myśli. Zabierze Iwonę, wezmą plecaki i wśród bieszczadzkich wzgórz na dywanie z paproci i mchu będą wsłuchiwać się w pieśni, które polny wiatr wygrywa na fujarkach zdziczałych owocowych drzew. Jeszcze tylko odrobina siły przetrwania, jeszcze kilka bezsennych nocy i złych wspomnień...

Metaliczny posmak samotnej kawy przed świtaniem, światełka spadające z sierpniowej palety mrocznego nieba i wypełzające z cienia demony przeszłości....Wieczny mrok plamiący nieustanne pytania! Dlaczego? Jaki sens? Dlaczego mama odeszła? Dlaczego Ania

## Alina Mendrala – II nagroda



zdradziła go i popełniła samobójstwo? Dlaczego Daniel popadł w narkotyczny nałóg? Dlaczego Rafi sypiał z podrabianą murzynką? Dlaczego nie rozumiała go Iwona?

Głupie pytania i idiotyczna nadzieja na racjonalną odpowiedź! Robert nagle poczuł chęć, by dać sobie w mordę. Machnął ręką, filiżanka z kawą spadła na płytki kuchni, stłukła się na tysiące maleńkich kawałków, rozbrzuszając czerni niesmacznej cieczy po blacie stolika i meblach.

- Niech to szlag! - wściekł się jeszcze bardziej. Szczęśliwie nie obudził chyba Iwony, bo z sypialni nie dobiegały żadne odgłosy. Żadnego człapania pantofli ani złośliwego komentarza.

Wziął się za sprzątanie. Powietrze drżało od ciszy, nieśmiała jasność z wolna połykała mrok i rozsypywała szarość pajęczyny z kolorytu świata. Zerknął za okno a tam zieleń zaczynała zaglądać w oczy. Wtedy zadzwonił telefon. Leszek! Robert aż ścierpł ze zdenerwowania. To nie mogła być zwykła rozmowa. Za wcześnie na pogaduszki! Ostatnio brat zadzwonił o podobnej porze, kiedy umarł tato...

- Co się stało? - prawie nie mógł wydobyć głosu ze ściśniętego przerażeniem gardła.

- Rany, Robert, przepraszam, dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę, która jest godzina! Ochłoń, stary, nic się nie stało! Wiem, że nie sypiasz, a ja po prostu nie mogłem już wytrzymać!

Pragnienie, by ominąć tę chwilę, było na tyle mocne, że przez kilka strasznych sekund Robert nie był w stanie wyłuskać sensu z wypowiedzi brata.

Gadaj! - udało mu się w końcu wychrypieć.

## Alina Mendrala – II nagroda



Wiem już, dlaczego Ania popełniła samobójstwo! Wieczorem byłem w klubie i ludzie gadali... Wiesz, może powinienem zadzwonić zaraz, jak to się stało, tylko jakoś nie chciałem budzić w tobie dawnego koszmaru. Dwa miesiące temu utopiła się w rzece córka Kaśki! No wiesz, młodszej siostry Ani. Też była w ciąży! Zrobili badania DNA i ojcem dziecka okazał się dziadek, stary Deptuła! Już siedzi! Wtedy nie mieli jeszcze takich sposobów, by wbrew wszystkim wydobywać na światło dzienne najszybsze tajemnice rodzinne, teraz mają! Robert, rozumiesz?

Niespodziewana klarowność myśli pozwoliła naraz zanurzyć palce w przeszłości, odkłąć ją bez wysiłku, bez zbędnych poszukiwań wymyślnych zakończeń. Nieważne, że telefon wypadł z bezwładnej dłoni i zakleszczył się w potrzasku bezlitosnego sierpnia. Czas nie był żadnym bogiem, żadnym wyznacznikiem jałowych półprawd i domysłów. Może jednak dla Syna Spadających Gwiazd istniała możliwość, by otrzymał odpowiedzi chociaż na kilka swoich pytań?

- Wanielijki! Spełnienie pragnień! Odpowiedzi nieba! - Robert uśmiechnął się szeroko, zupełnie szczerze, zupełnie jak ufne dziecko. Jeśli nawet przez mgnienie momentu poczuł przebrzmiały, choć straszliwy ból - wszystko błyskawicznie wracało do normy... Noszona w sercu skrywana, dziecięca iluzja dostała naraz baśniowych skrzydełek, wyzbyła się wszelkich wątpliwości i roztańczyła się wśród kropelek porannej rosy.

Zupełnie naturalnym wydał mu się atak na jego własną przestrzeń, tak przecież bywało zawsze... Wieczne poczucie zagrożenia i notoryczny lęk przed falstartem zbytnej pewności siebie. Te destrukcyjne uczucia towarzyszyły mu od zawsze, a właściwie od śmierci mamy. Potem samobójstwo Ani, narkomania Daniela i wiele

## Alina Mendrala – II nagroda



mniej lub bardziej istotnych spraw deformowało jasność światła, wypełniało zaćmieniem plagiaty niby szczęśliwych dni. Ciągłe powiewał smutek rozwieszony na niewidzialnym sznurku, przypięty klamerkami niczym niezbyt dokładne pranie. Czas wpadał w panikę a anemiczne kęsy życia próbowały się otulać wyobrażoną tęczą i zastygać w udawanym zachwycie last minute...

- Już rozumiem! Rozumiem, Aniu! Odpoczywaj w pokoju! Widzisz, nigdy mi nie wierzyłaś a ja jednak jestem Synem Spadających Gwiazd... Mama miała rację. Za kilka dni skończę pięćdziesiąt lat i dostanę odpowiedzi na wiele pytań... Na pewno dostanę! - sam nie wiedząc dlaczego, wykrzyknął te słowa głośno.

Pałący ból w klatce piersiowej wcale go nie przeraził. Zgiął się wpół, potem osunął się bezładnie na zimne płytki kuchni. Słowa przerażonej Iwony docierały do niego z bezmiaru dalekości. Lodowaty pot zrosił mu czoło. Nie słyszał już sygnału karetki, nie czuł ciepłego dotyku płaczącej żony. Wiedział tylko jedno! Otrzyma swoje odpowiedzi, otrzyma, nie tak uprzedzie, jak myślał, ale jednak...

Syn Spadających Gwiazd zobaczył je nagle w całym majestacie i zupełnie z bliska... To nie on opowiedział im o życiu, to one opowiedziały jemu.

## GŁĘBIA ZAPOMNIENIA (FRAGMENTY)

Evan systematycznie rozwijał prędkość samochodu prując przez anonimowe miasteczka oblegające wokoło jego rodzinne Leesdic. Spuszczając wzrok z kierownicy powędrował oczyma w kierunku bocznego schowka, na którego dnie spoczywała wymięta już paczka niebieskich Cameli. Mężczyzna starając się nie utracić panowania nad rozpędzonym do niemalże 100 kilometrów na godzinę autem, wygrzebał osamotnionego już papierosa.

(...)

Zmierał w kierunku zatartego we własnej pamięci miasteczka, West Hill, położonego kilkanaście kilometrów na południowy zachód od Leesdic. Od przeszło dwudziestu lat omijał drobną mieścinę przy każdej możliwej dla siebie sytuacji. Bardziej z przyzwyczajenia. Nie czuł już bowiem aż tak wielkiej trwogi, jaką wyzwałała w nim owa wioska jeszcze kilka lat temu, gdy na samą myśl o West Hill robiło mu się słabo i mgliście przed oczami.

"Do czego tam zresztą wracać?" - zapytał się retorycznie Evan, w myśli - "Do ruiny starych opuszczonych domów, które pamiętam z czasów, gdy zamieszkiwali je pocieszni starcy? Do własnej posesji, wyludnionej już od przeszło dziesięciu lat? Do bagien za głównym podwórzem, które będą przypominać mi o Sue?"

(...)

\*\*\*

Granica miasteczka, pomimo iż jedynie umowna, wydawała się być czymś więcej. Była jakby realnym oddzieleniem West Hill od reszty świata. To, co dało się odczuć to ciężkość, przepełnionego



martwą stęchlizną powietrza. Przedzierało się ono przez nawiewy auta, zalewając swym odrzucającym aromatem Evana.

Został on uderzony jeszcze jednym faktem, gdy tylko trafił do miasta. Przewidywał, a nawet wiedział, że jest ono gorejące, całkiem niemal już opuszczone. Nie spodziewał się jednak aż takich głuchych pustek. Części domów, które znał z dzieciństwa już nie było. Te zaś, które dalej były sporadycznie porzucane wokoło asfaltowej drogi, nosiły oznaki zaniedbania, tak silnego jakby od dekad nikt nie postawił na nich stopy. Wysokie po kostki trawy przedzierały się pod same już progi domów. One zaś pokrywały się zdrapaną, najczęściej beżowego koloru farbą ścienną. Okna były rozbite bądź zabite spróchniałymi deskami, tak, że wnętrza izb oddzielone były od świata zewnętrznego.

Nagle, przewijając się powoli przez główną i jedyną ulicę miejscowości, coś przykuło jego uwagę. Były to wyniszczone ruiny pewnego domu, uchowanego głęboko w jednym z lustrzanie do siebie podobnych dworów, jakich pełno było w miasteczku. W przeciwieństwie do reszty budynków, które dało się dostrzec w West Hill, tego nie otaczało niemalże nic. Ziemia wokoło była kompletnie wyjałowiona, tak że dzikie, zaniedbane trawy nie miały tu racji bytu. Wszelka roślinność była tam, jak sądził Ewan wymarła od długiego już czasu. Z daleka nie udało mu się dostrzec choćby jednej rośliny, poza szerniałym, bezlistnym drzewem w parasolowatym kształcie. Po niskim, sztachetowym płocie, który otaczał wymarłe podwórze pozostały zaś już jedynie nieznaczące resztki powyłamywanych belek i metalowych złążeń.

Evan znał ten dom. Było to jedno z niewielu mieszkań, które zdarzało mu się odwiedzać w dzieciństwie, gdy prawie co roku

spędzał wakacje u swego dziadka. Do czasu wypadku Sue. Potem już nigdy tu nie wrócił. Aż do dziś.

Dom ten, o ile pamiętał zamieszkiwała przed dwudziestoma laty czterosobowa, uboga rodzina nazwiskiem Daleway. Dla Evana wizyty i czas spędzony z dziećmi Daleway'ów, były jedyną niemalże rozrywką w ospałym i wyludnionym w tamtych czasach, West Hill. Jak pamiętał, początkowo ciężko było znaleźć im wspólny język z braćmi Philem i Petem. Chodziło być może o najprostsze różnice, wynikające choćby z samego pochodzenia, czy wieku. Dzieci mają jednak to do siebie, że prosto przychodzi im przełamywanie takich barier. To starszy z braci Dalewayów, Phil, pokazał Evanowi i Sue uroki małego miasteczka. Spokój i pewna dozę prywatności, którą odznaczały się miejsca takie jak West Hill, których wiele jest rozsypanych po całym stanie. Najważniejszym dla nich były jednak wielkości pustych miejsc i terenów, mogących posłużyć za plac wszelkiego rodzaju zabaw.

Zabaw, choćby takich jak gra w chowanego. To właśnie Phil nauczył ich tej gry, która wprowadziła Sue do grobu.

(...)

\*\*\*

Przeszywający wzrok promień krwisto rozplływającego się słońca, przebudził Evana ponownie do rzeczywistości. Mimo iż wydarzenia, które zawiiodły go wprost pod opuszczony dom rodzinny w West Hill, obejmowały kilka poprzednich dni, dla niego zdawały się być całym latami.

Nie czekając dłużej pospieszył ku przechylonej w dół bramie. Ospala aura miejscowości, spychała go ciągle w świat własnych myśli.

(...)

- Drogi panie, może był to i pies. Wszystko w każdym razie na to wskazuje. Radziłbym jednak pilnować dzieciaków przez najbliższy czas. Uważnie pilnować, bo jeśli rzeczywiście był to pies, to chyba tylko taki jak Cerber.

Mimo iż od tego czasu minęło niemniej niż dwadzieścia kilka lat, wspomnienie było dalej żywe. Strach, jaki budziła ta sprawa w Euanie w tamtym czasie, w żadnym stopniu nie zmalał, a może nawet wzrósł. Psa-mordercy w końcu nigdy nie udało się odnaleźć.

(...)

Z całej posiadłości dobiegały jednak głuche pustki. Rozjarzone zawsze okna na parterze, teraz pokryte były mrokami czerni, wdzierającymi się do środka domu. Rozłożone po całej powierzchni przyżółkłe liście tworzyły złocisty, nienaruszony dywan. Ruszyłem wyznaczoną przez niego ścieżką. Kiedy stał w zaraz przy okrytych starością murach domu, wizje teraźniejszości i przeszłości, nakładały się na siebie, tworząc w jego umyśle przedziwną kompilację. Echa dawnych lat rozbrzmiewały w jego pamięci, przywołując wspomnienia zarówno te dobre, jak i te, które na wiele lat chował w najszczelniejszych zakątkach własnej świadomości.

Obok frontowych drzwi, które znajdowały się za jego plecami, ulokowana była metalowa balustrada, z zalaną czarnym cieniem wnęką w dół. Schody, jak wiedział Euan były kręcone i prowadziły wprost do spiżarni. Nigdy w dzieciństwie nie odważył się tam zejść. Nawet nie dotarł do owego pomieszczenia, poprzez labirynty piwniczne, jakie posiadał dziadek.

By uciec od wspomnień, Euan spróbował znów skoncentrować się na jak najszybszym wykonaniu, złeconej mu pracy.

(...)

Odkładał już worek, gdy jeden, niepasujący do reszty przedmiot przykuł jego uwagę. Początkowo Evan nie dostrzegł jego obecności. Gdy jednak zrozumiał czym jest owa rzecz, mało nie padł ze wzrastającego zadziwienia.

Ową rzeczą była czerwona, bejsbolowa czapka, z odprutą naszywką jednego z lokalnych klubów. Dwadzieścia lat temu nosiła ją Sue.

Miała ją na sobie tego dnia, kiedy zginęła w zdradzieckich bagnach West Hill.

Z niemniejszym w dalszym ciągu szoku, Evan podniósł czapkę z ziemi i przez chwilę w zadziwieniu obracał ją w ręku. Bez żadnego powodu, starał się doczytać, co napisane było na wiszącej ledwo już naszywce, gdy nagle wąskie promienie światła poczęły gwałtownie maleć, by ostatecznie przykryć izbę egipskimi ciemnościami.

Drzwi za jego plecami trzasnęły z hukiem, a z zewnątrz dobiegać zaczął piskliwy śpiew świszczącego wiatru. Był jak jeden głos i dopadało Evana przedziwne uczucie, jakoby w wietrznym hałasie zawarte były ukryte słowa, przebrzmiewające z jego falami. Był to zew. Coś go wzywało.

(...)

\*\*\*

Evan nie miał pojęcia, ile czasu leżał nieprzytomny na podłodze izby. Gdy tylko przetarł oślepienie oczy, dostrzegł, że drzwi, które jeszcze przed chwilą zatrasnęły się przed nim z hukiem, teraz rozchwiewają się z rytmem rwącego wiatru. Błade światło wieczoru wdzierало się do środka pomieszczenia, sygnalizując mu, że nie mogło minąć zbyt wiele czasu.

## Piotr Kolasiuk



Ostatnim, co udało mu się zapamiętać, było wparowanie do komórki. Pamiętał, że w rogu, pośród beczek i grud niepotrzebnych śmieci coś odnalazł. Była to czapka Sue. Ta sama, którą miała na głowie, kiedy zanurzała się w moczarach West Hill.

- „To nie mogło być tak” - pomyślał Evan – „Przecież ciała nie odnaleziono. Zanim ktokolwiek zjawił się na miejscu, gdzie stałem jak otępiały, nie było już po niej śladu.”

Nie zapomniał tamtego dnia, pomimo iż upłynęło od tego czasu już prawie dwadzieścia pięć lat. Były to jedne z wakacji, jakie zwykli spędzać z Sue u dziadka, z powodu letnich zajęć rodziców. Zdażyli już jednak do tego przywyknąć, bo nie był to ich pierwszy, i jak sądzili wtedy, nie ostatni wyjazd do West Hill. W tamtym właśnie roku czuli się tu jednak trochę gorzej. Zarówno Evan, jak i jego siostra weszli dopiero co w szkolny wiek i letnią przerwę od szkoły, zamierzali spędzić z nowopoznanymi przyjaciółmi, których zmuszeni byli pozostawić w Leesdic. Na domiar złego, owego feralnego roku nie zastali tu braci Dalewalów, których rodzina, jak opowiadał dziadek, zniknęła z West Hill 'z dnia na dzień'.

Towarzystwa dotrzymywał im jednakże tamtego roku, kuzyn, syn Sama, Rick. Był on od nich co prawda trochę młodszy, w takim jednak wieku, w jakich się znajdowali, lata nie stanowiły znaczącej bariery dla wspólnych kontaktów. Mimo dobrych kontaktów jakie utrzymywali, od Ricka dało się wyczuć pewien dystans, tak nietypowy dla tak małych dzieci. Już wtedy Evana mroziło spojrzenie zimnych, czarnych jak smoła tkwiących pod kruczoczarnymi włosami, oczu kuzyna. Nie ważne jaki grymas przyjmowała jego twarz, od wesołości, po smutek, jego wzrok zawsze

był tak samo przesywający, tak jakby z węgielnych źrenic wylewała się niewidzialna siła.

(...)

Jednym z takich dni, był 22 lipiec owego roku. Trójka dzieci zaczęła swą zabawę trochę później niż zwykli to robić, przez cały ostatni miesiąc. Do obiadu usiedli już koło późnego południa, tak więc, kiedy wyszli na dwór nad ich głowami rozciągały się gęste, rozdierane przez blask zachodzącego słońca, kumulusy. Cienie padające na West Hill tworzyły aurę senności i mroku, w którym łatwo można było odnaleźć kryjówkę odciętą od widoku ciekawskiego świata.

Pierwsza szukała Sue. Miała do tego niebывały instynkt. Nigdy nie zdarzyło się, by odnalezienie chłopców zajęło jej więcej niż dwa kwadransy. Potem był Rick. Jemu także odnalezienie reszty grupy, nie przysparzało wielu problemów. Evan podejrzewał jednak, że jego kuzyn często oszukiwał, choć nie miał ku temu żadnych dowodów. Taka była jednak jego natura i tego rodzaju zachowania nie były u niego rzadkością.

W końcu padło na Evana. Choć nie był z tego dumny, podczas wielkiego odliczania rzucił okien w kierunku odchodzącego z wolna Ricka. Łatwo zauważył iż kieruje się on do bramy wyjściowej. Gdy wypowiedział głośno i wyraźnie słowo 'pięćdziesiąt', bez zbędnego pośpiechu ruszył w stronę końca podwórka. Kuzyn zbyt często korzystał z kryjówki w gęstych krzakach, okrywających ścianę pod balkonem, robiąc się tym przewidywalny.

Evan był już w tamtym miejscu, gdy za plecami usłyszał krzyk, przedzierający ciszę, budującą poczucie napięcia w ciemnych zakątkach domowego ogrodu. Obrócił się momentalnie i starał się

wychwycić źródło owego głosu, który bez wątpienia wołał właśnie jego.

-Pomocy! Euan!

To była Sue. Wbijający się pod skórę przenikliwy dreszcz, zagnieździł się na ciele ośmioletniego, wówczas chłopca. Jego umysł zaczął pracować na najwyższych obrotach, a zmysły, w szczególności słuch wyteżyły się do maksimum swych możliwości. Przy zamkniętych oczach, Euan umiejscawiał sobie dobiegający go wrzask rozpaczny, który z każdą chwilą był bardziej błagalny.

Nagle zrozumiał. Sue była za domem, na bagnach. Nie było czasu na myślenie; Euan natychmiast porwał się biegiem w kierunku bramy. Nie bacząc na liczne przeszkody pod nogami, przemierzał długość podwórka długimi krokami. Bez zahamowania wparował na metalową furtkę, która prowadziła wprost do nieużytego pola, które jeszcze za czasów jego pradziadka zamieniono na moczary. Głos Sue dalej nakierowywał go na właściwą drogę. Ton, jednak, jej łamiącego się głosu, sprawiał, że Euan dopuszczał do siebie najczarniejsze ze scenariuszy.

- Euan! - wołała błagalnie

W końcu wypadł z impetem na opustoszałe pole, zwieńczające kilkumetrową porośniętą mchem drózkę.. W pierwszej chwili, wciąż ledwo łapiąc oddech, nic nie zauważył. Rozglądał się dookoła gorączkowo, wołając siostrę po imieniu. Przebijający odór wszechobecnej stęchlizny penetrował zaś jego nozdrza, wywołując połączone z nieludzkim strachem, poczucie nudności.

Wtem, dostrzegł pewien ruch na samym dole lekkiego wzniesienia, w miejscu gdzie rozpoczynały się ruchome i niestabilne podłoża. Pośród nich coś gorączkowo się miało, choć Euan nie

## Piotr Kolasiuk



widział dokładnie co to jest. W zrozumieniu dopomogły mu resztki rozsądku, których nie zdołała strawić dławiąca go panika.

- Sue! - ruszył bez opamiętania, nie dbając o własne bezpieczeństwo, na tym niepewnym gruncie. - Boże, Sue!

Widoczna była już tylko górna partia jej ciała. Całkowicie niemal skrępowane ręce poruszały się spazmatycznie, niczym bezwiedne flagi płynące z prądem wiatru. Na jej zagłębiającej się w zdradzieckich moczarach, twarzy widoczny był nieludzki wysiłek, ale i wola walki.

Biegając, Evan prześlizgnął się na kolanach przez ostatnie metry dzielące go od wierzgającej siostry. Usilnie pochwycił ją za zapadające się, głębiej i głębiej ręce.

- Trzymaj się, Sue! Nie możesz się poddać, zaraz cię wyciągnę!

Na jej twarz występowało jednak, coraz głębsze i wyraźniejsze poczucie beznadziejnej rezygnacji. Blask w oku gasł, a z niej wydierał się druzgocący brak woli do dalszej, nieskutecznej walki. Evanowi chciało się płakać. Nie miał jednak na to czasu. Nie mógł tego jej zrobić. Jeśli ona chciała się poddać, proszę bardzo. On jednak zamierzał walczyć. Walczyć do samego końca.

- Postaraj się jeszcze trochę - pocieszał ją, usilnie próbując wciągnąć ją na suchy ląd, z zasysających otchłani - Na pewno Rick mnie słyszał. Rick zaraz tu...

Gdy tylko to wypowiedział, jej wcześniej otumaniona rezygnacja zniknęła bezpowrotnie. Zastąpił ją nieokiełznany strach i Evan pewien był, że Sue stara się mu coś przekazać. Być może ostatnie słowa.

- Rick, nie...



Na jej wykrzywionej wyśiłkiem i potwornym bólem twarzy, wystąpiły pierwsze ślady łez. Były to jednak łzy beznadziei i żalu nad nieuniknionym losem. Evan począł się łamać. Czuł, że z oczu kapią mu wielkie krople, opadając na przepocone już z wysiłku dłonie. Ręka Sue stała się nieopanowanie śliska od potu i krwi, która występowała na jej skórze od zbyt mocnego ucisku. Centymetr po centymetrze zatapiała się coraz głębiej w dół. Evan zwiększył swe próby, które objawiały już zaledwie desperację. Szarpał, krzyczał, wołał po pomoc. Nic nie pomogło. Sekunda po sekundzie, minuta po minucie, Sue coraz bardziej zbliżała się do głębin West Hill.

Gdy widoczna była już tylko jej uciekająca w dół, przykryta porwaną czapką głowa, Evan dostrzegł coś na jej twarzy. Złożyła usta, tak jakby chciała jeszcze coś rzec. Choćby jedno słowo pożegnania.

Nie zdążyła jednak, pochłaniając się w śmiercionośnej tafli bagien West Hill.

(...)

\*\*\*

Evan wciąż nie był w stanie wyrzucić wspomnienia przedziwnego incydentu, który nadarzył mu się w komórce. By zagłuszyć własne, zaintrygowane sumienie, starannie zajął się pracą.

(...)

Obracając się z łopata w rękę, przelotem spojrzął na dom opuszczony dom dziadka. Coś jednak w jego mrocznej okazałości przykuło jego uwagę.

W górnym oknie, po lewej stronie budynku paliło się światło. Było to bez wątpienia światło naftowej lampy, którą przechowywał dziadek, dwadzieścia lat temu.

Evan nie mógł uwierzyć własnym oczom. Skupił wzrok na tym miejscu i mrużąc oczy przyjrzał się dogłębniej. Nagle, na tle światła przewinął się jakiś cieniasty kształt. Nie dało dojrzeć się jego twarzy, z odległości w której znajdował się Evan, był jednak pewien, że jest to mężczyzna. Chciał go zawołać, lecz w ustach zaschło mu tak iż język był jak z waty.

Tajemniczy człowiek stanął we framudze okna i ze spokojną determinacją objął Evana wzrokiem. Czuł jego przesywającą siłę. W panice stracił poczucie świadomości, zaś tłukące się w piersi serce, uderzało ze zdwojoną częstotliwością. Surrealizm całej sytuacji był tak przytłaczający, że Evan zdobył się tylko na dziecięcy odruch zaprzeczenia. Zaciśnął mocno powieki i w panice nie zamierzał ich już otwierać. Pewien był, że gdy znów je otworzy nieznaną kształt, wciąż będzie wpatrywał się w niego z domowego okna. Bardziej bał się jednak zrozumieć, kim ten ktoś jest.

(...)

Droga ku bagnetom ciągnęła się na około kilkanaście metrów. Pokrywały ją dzikie i nieokiełznane źdźbła traw, sięgających mu do samego pasa. Przedzierał się przez nie z niemałym trudem, przed oczami zaś wyłaniał mu się zapomniany przez lata widok. Kształtował się w jedną spójną całość i jakby to było wczoraj, Evan pamiętał dzień, gdy był tu po raz ostatni.

Głosy w jego głowie nabierały na sile. W myślach znów rozbrzmiewał mu łamiący się krzyk rozpaczony Sue, gdy zatapiała się w zdradzieckich głębinach przeszłości. Jego siła narastała, transformując się w nieuciszany jęk, rozsadzający go od zewnątrz.

Bagna prezentowały się nadzwyczaj pesymistycznie. Było to już właściwie opustoszałe pole, miejscami pokryte przez wyniszczoną,

pasożytniczą przyrodę, która odzwierciedlała naturę tego zapomnianego miejsca. Nad tym właśnie miejscem zbierały się centralnie najmroczniejsze chmury. Ich gęste powłoki zalewała aura zgniłej szarości.

(...)

Dokładnie ważąc każdy krok ruszył na dalsze tereny ziemi. Z ust wystawał mu kolejny, nadpalony do połowy pet. Gdy schylał się ku ziemi piekący dym dostał mu się wprost do oka, oślepiając go na krótką chwilę. W zadziwieniu postąpił dwa kroki w przód, nie patrząc przed siebie.

Nagle, pod stopą poczuł, że traci twardy grunt. Słyszalny był jedynie cichy gulgot, gdy buty zanurzyły mu się w jakimś nieznanym szlamie.

Nie miał jednak czasu by coś z tym zrobić, gdyż cichy świst, niedalekiego lasu wzbogacił nieludzki dźwięk. Było to coś w rodzaju syku, który rósł z każdą sekundą. Początkowo wydawało mu się, iż jest to zaledwie szmer. Szmer ten jednak, przeradzał się w wyraźnie słyszalny, złowieszczy szept.

- Ssssss...

Panicznie rozejrzał się wokoło zapominając o całej reszcie. Wzrokiem poszukiwał źródła głosu, wszystko jednak pozostawało pozornie w ospałym spokoju West Hill. Rozbiegane oczy omiały wszystko kilkukrotnie. Całkowicie zapomniał jednak o samych moczarach. Był to błąd. Po chwili spokojną tafłę szlamu przerwał nieznaczny ruch. Na ciemnozielonej powłoce zajarzył się kilkukrotny bulgot i rozprysk, łamiący obumarłe mokradła.

Z masywnej dziury w glebie stopniowo i bez pośpiechu wyłaniał się jakiś kształt. Euan nie miał czasu na myślenie. Spiął mięśnie i momentalnie spróbował ruszyć w kierunku furtki.

Nic się jednak nie wydarzyło. Jego nogi były sztywne niczym pale wbite w ziemię i nie mógł się poruszyć. Bagna, w które wstąpił pochłaniały go. Czuł jak coś ciągnie go ku dnu, z wyraźną siłą.

Z dziury zaś, kilka zaledwie metrów przed nim wynurzała się postać. Pokrywały ją powłoki spływającego gęsto śluzu. Mimo, że spod niego nie było niemal nic widać, Euan wiedział kim jest owa postać.

- Euaaan, tsssss... Euaan, czemu mnie nie znalazłeśśś?

Twarz jego zmarłej lata temu siostry wyglądała, tak jak w dniu wypadku. Nastąpiły na nie jedynie upiorne zmarszczki, pokrywające całą jej twarz. Głowę dalej zaś zdobiła bejsbolowa czapka, umorusana odrażającym odcieniem szmaragdowych mokradeł, spływających jej na pozbawioną rysów twarz. Z pustych oczodołów wysuwały się drobne robaki oraz długie na kilka centymetrów pijawki, przedzierające swą drogę rozdzierającymi śladami na jej bezkrwistej twarzy.

Włócząc za sobą wyłamaną w kostce nogę, przesuwała się w kierunku Ewana. Usta jej rozjaśniał upiorny uśmiech. Kości policzkowe wystawały z wypalonych dziur w policzkach, zęby zaś układały się w mściwy grymas, widzialny często na modelowych szkieletach, które zdobiły akademickie sale, wydziałów anatomicznych.

Największą grozą napawał Ewana jednak jej pozornie niewinny wygląd. Ubrana była w jasnoniebieską koszulkę, którą zabarwiały teraz mocno ciemnozielony kolor. Na piersi zaś znajdowała się

koszmarnie zakryta szlamem, jedna z postaci kreskówki Looney Tunes.

Evan szamotał się w nieludzkiej panice, pogrążając się coraz głębiej w odmętach bagien West Hill. Jego próby były jednak bezowocne. Im większe wkładał w to wysiłki, tym bardziej krępowały się, zanurzone już po uda nogi.

- Tyle na ciebie czekałam - wysykiwała, będąc już naprzeciwko sparaliżowanego brata. Nie siląc się na pośpiech, jakby napawając się tą chwilą, ostrożnie wyciągnęła ku niemu oślizgłą, wypartą z tkanki mięśniowej dłoń, którą zdobiły już tylko przetarte dziecięce kostki. Chwycała go za szyję i znów zaczęła silić się na wydanie z siebie głosu.

- To dzięki Rickowi tu jestem. Tego dnia... - przerwała krztusząc się własnymi słowami –A teraz on cię sprowadził... To on...

Jej szponiaste palce wpijały się coraz głębiej w jego gardło i przerażony Evan, czuł jak po jego szyi zaczyna płynąć wąska strużka gorącej krwi.

- Ale znalazłeś mnie, Evan - zaśmiała się upiornie, odchylając do tyłu głowę w ludzkim niemal geście. - Teraz moja kolej, ale nie martw. Tu na dole jest dużo miejsca by się schować!

(...)

## JAK PAN BÓG ZJADŁ MOJĄ BABCIE

- Chrrrup, chrrrup, chrrrup... —miarowe, monotonne, metodyczne.

Chrrrup. I ostatnia trzepocząca, kosmata nóżka ofiary znika w różowym pyszczku za rzędem lśniących kłów drapieznika. Kot jest łaciaty jak krowa i jest wielki jak krowa, no może jak cielę. Mruczy. Zawsze mruczy po udanym polowaniu, głośno jak elektryczny silnik. Zawsze mruczy po tym jak kolejna przywleczona z parapetu za oknem ćma chrupie mu w mordce. Poluje na nie pasjami w jakiś zadziwiający, sobie tylko znany sposób. Siedzi w mroku za oknem bez ruchu i wykonuje tylko nieznaczące - kłap!. Zaczynam podejrzewać, że wabi je odbłask w kocich oczach. Maciuś. Chyba już piąty Maciuś, ale najbardziej charakterny. Kot jest jedynym ruchomym elementem w tym dryfującym pokoju - arce zawieszonym w jakimś praczasie nie ulegającym żadnym zmianom i przesunięciom. Nawet powietrze tu jest inne niż gdziekolwiek. Nawet światło padając przez szydełkową firankę filtruje cię w jakiś miękki film na skórze starej komody i tylko tu jest właśnie takie. Czasem myślę, że całe moje poczucie bezpieczeństwa opiera się na niezmienności tego pokoju. Na tym, że plastikowa Matka Boska do wody święconej, z odkręcaną koroną stoi zawsze za paprotką, a zdjęcie papieża, które kiedyś podlałam zamiast niej, przed. Że przywieziony ze Lwowa obtłuczony wazonik z Miśnieńskiej porcelany, anioł z połówką skrzydła, poniemiecka makatka z bukietem jedwabnych róż wyszytym pieczołowicie przez jakąś pracowitą frojlajn, bukiet owsa, gdzie każde ziarenko na gałązce owinięte jest osobnym sreberkiem z papierka po maśle ekstra śmietankowym ustawiony przed Matką Boską Częstochowską, to boje wyznaczające granice azyłu. Na masywnej sieniowej szafie moje

## Małgorzata Stachowiak-Schreyner



malunki woskowymi kredkami sprzed dwudziestu lat, w dolnej szufladzie album z przedwojennym światem udrapowanym blaszanymi klipsami w gustowne fale. Świat kobiet o porcelanowych twarzach, mężczyzn w garniturach i Inianowłosych dzieci, z których tylko moja matka przemknęła się w napuszczonym od gęsiego puchu becie poza rok tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty. Przy albumie jest wyprawka na cmentarz. Brązowa sukienka, brązowe buty, chustka, pończochy. Babcia twierdzi, że czerń jest zarezerwowana dla księży i zakonnic. Siedzę na krześle. Na tapczanie się nie siada. Na tapczanie jest pierzyna, na pierzynie poduszki, na poduszkach kapa, na kapie serweta, na serwecie lalka w dzierganej z wełny falbaniastej białoczerwonej sukni. Tak było jest i będzie. Układanie pościeli w skrzyni tapczanu to fanaberia. Na tapczanie siadam tylko wtedy, kiedy zalewam się łzami, bo jestem głęboko nieszczęśliwa. Babcia siada obok, głaszcze mnie po głowie i mówi:

- Toż to nie jest żadny niszczęście, jak bomba na dom spadnie i ludzi pozabija to to tak, a tak ni ma czego płakać - życie ani do płaczu ani do śmiechu, tylko do przyjęcia. Modlić się trzeba Margosia, modlić.

Tysiące razy wyobrażałam sobie jak wkraczam do tego matryxa i oznajmiam: Babciu, jestem w ciąży - Babciu mam aids - Babciu zostało mi dwa tygodnie życia; i słyszę nieodmienne:

Toż to nie jest żadny niszczęście...

I faktycznie te moje niszczęścia jakoś nie dawały rady dorównać bombie i rozwiewały szybko, choć jakoś obywały się bez modłów.

Szur, szur, szur - filcowe kaptie trą o wykładzinę na przedpokoju. Babcia w nieśmiertelnym, stylonowym fartuchu niesie kubek w różyczki z rumiankiem. Kocham kubek w różyczki i te dwa białe bez

różyczek też. Te tam, co stoją przed zmatowiałym lustrem. W jednym jest woda z cukrem do zaczesywania na gładko doskonale okrągłego koka na czterech szpilkach, a w drugim nocują zęby... Ten koczek i okulary w grubych ciemnych oprawkach z lat sześćdziesiątych to chyba moje pierwsze wspomnienia. Babcia to wszystko co pierwsze, pierwsze piosenki, moje pierwsze kroki, pierwsze słowa. Zawsze była najbliżej. Trochę trudna z tą swoją szorstko wrażliwą naturą bywalczyni obu światowych wojen, choleryczna, pyskata, czasem boleśnie za szczerą, z głową pełną wiedzy, której nie dają żadne szkoły, a tylko długie pokręcone życie. Uczyła nazw kwiatów, pieczenia drożdżowych bułek, dziergania szalików. Robienia alchemicznych, czarownych konfitur z czeresni smażonych i studzonych dziesięć razy, śpiewania litanii i trzaskała po łbie kuchenną ścierką za co ważniejsze zasługi.

Właśnie po to tu jestem. Po oprostowaniu że, owszem, mogę poczytać, ale śpiewać to nie ma mowy mam robić za księdza czytając litanie loretańską. Chciałam się wykręcić. Kupiłam jej radiomagnetofon i nagrałam na kasetę wszystkie niezbędności. Nie przeszło - to, to jeszcze prądem kopnie. Babcia nie widzi liter. W ogóle nie widzi lewym okiem. Guz powoli poszerza wielkość opatrunku, który jeszcze rok temu był małym plasterkiem, a dziś bandażami na prawie pół twarzy. To niezłośliwy guz, ale żaden lekarz nie zoperuje dziewięćdziesięcioletki, żeby sobie nie spieprzyć statystyk. Zapach rywanolu i innych niezidentyfikowanych medykamentów coraz bardziej drażni nos. Babcia znika. Z każdą moją wizytą jest jej mniej. Najpierw przeźroczyścieje i staje się krucha jak chińska filiżanka. Potem nasycy się światłem, które prześwitywać zaczyna przez pergaminową skórę. Na koniec zaczyna drogę powrotną,



## Małgorzata Stachowiak-Schreyner



rozmawia ze zmarłymi dziećmi, matką, ciotką i staje się małą chorą dziewczynką pod olbrzymią pierzyną, a potem nieruchomą lalką, która przez lata siedziała na szczycie tapczanowych betów.

Nie mogę uwierzyć w nieistnienie człowieka, który trzyma mnie za rękę, nie mogę uwierzyć w nic.

- Chrrrup, chrrrup, chrrrup - marcowy, jeszcze lekko zmrożony żwir trzaska o sosnową trumnę. Trzaska i chrzęści gdzieś między zwojami w samym środku mózgu. Nie ma już nikogo - kopczyk. Grabarze trzaskają łopatami a najgorliwszy zaczyna butem przydeptywać wkoło miejsca na osadzenie drewnianej ramy. Pomiędzy zażwirowanymi synapsami pęcznieje we mnie krzyk:

- Nie depcz po mojej babci skurwysynu!

Czuję jak powietrze się zatrzymuje. Kilkadziesiąt zgorszonych spojrzeń wbija się we mnie jak szpilki w laleczkę voodoo. Wycofuję się jak osaczone zwierzę patrząc w oczy pierwszej z brzegu, zgorszonej ciotce. Dopiero w alei zauważam, że ludzie w tym roku na grobach oprócz bukietów z bazi i sztucznych żonkili, obok pękających plastikowych zniczy w kształcie pisanek, rozkładają grające, wielkanocne kartki. Teraz, z każdej strony dociera do mnie ich metaliczne brzęczenie, które powoli zmienia się we wszechobecny pomruk. Mruczenie zadowolenia po udanym polowaniu, głośne jak elektryczny silnik.

## URODZINY (FRAGMENTY)

- Proszę się obrócić, czy może pani jeszcze rozpiąć koszulę? - Pewnie, że mogę, oby tylko wiedziała, co mi jest, myślę i posłusznie rozpinam kolejne guziki - ...o tak, dziękuję. -Kobieta w niebieskim fartuchu marszczy czoło, nad czymś się zastanawia; z niedowierzaniem a zarazem uwagą ogląda wszystkie zaczerwienione, jakby spalone słońcem miejsca, jest ich dużo, szczególnie na szyi, ruchomych częściach powiek, pod kolanami, po wewnętrznej stronie łokcia. Przyznaje, że pracuje dwadzieścia lat w zawodzie i nigdy nie widziała czegoś takiego. - Pozwoli pani, że skieruję ją do szpitala na szczegółowe badania, pobranie krwi, wymaz z pachwin - powiedziała, stukając miarowo w klawiaturę komputera. Potem wykonała dwa telefony, spojrzała na mnie ciepło i dodała: - Wszystko będzie dobrze. Doktor Tahir już wie, że pani do nich przyjedzie.

Opuściłam przychodnię podenerwowana, choć, nie powiem, doktor Yousif starała się być bardzo miła i poza oświadczeniem, że „nigdy nie widziała czegoś takiego” nie zdradzała niepokoju.

(...)

Do szpitala na emergency (nagłe przypadki) dojechałam w porze lunchu. W poczekalni izby przyjęć tłoczno i... smrodliwie. Mój nos wyczulony na ludzkie zapachy przesyła mi sygnały odwrotu. Mówię mu, że nie tym razem. Wciskam się między spoconych ludzi o różnych kolorach i odcieniach skóry. Po chwili byłam już jedną z nich. Z trudem odszukałam właściwe, tak mi się przynajmniej zdawało, drzwi. Dla pewności zagadnęłam pierwszą z brzegu, na pozór wyglądającą najsympatyczniej, młodą, trochę starszą ode mnie,

## Edward Derylak



kobietę i po uzyskaniu potwierdzenia z pokorą stanęłam w kolejce. Myśli przeróżne, daremnie by szukać przyjemnych, wypełniały moją biedną głowę. No cóż, w końcu pierwszy raz jestem w szpitalu, tłumaczyłam sobie, ale bezskutecznie, bo spokój w tej chwili był dla mnie towarem deficytowym.

(...)

W pokoju, w którym leżałam, była tylko jedna dziewczyna w gronie swoich koleżanek, które przyszły ją odwiedzić.

Za oknem szarzało. Zdziwiłam się, że już wieczór. Nie mogłam uwierzyć, że tak szybko. Potem jakieś wymazy, pomiar ciśnienia i niekończące się pytania doktora Tahir.

- Egzema - doktor Tahir spojrzął na mnie - tak, to rodzaj egzemy - padło z jego ust. Egzema?? Nie bardzo rozumiałam. Przecież wiem jak się objawia, a to, co mam, jest zupełnie inne... Podzieliłam się wątpliwościami z doktorem, a ten poinformował mnie, że to egzema wywołana stresem; tym długotrwałym, kumulowanym głęboko w psychice i niemającym ujścia. W efekcie następuje bunt ciała - i egzema.

Moja fizyczność zbuntowała się wcześniej niż rozum. Uznałam, że miała prawo. Codziennie pobudka o piątej, o szóstej zaczynałam dzień pracy. Domownicy smacznie jeszcze spali. Nakrywałam do stołu, ustawiałam zastawę, w tym czasie grzały się garnki na kuchence: jajka na miękko, na twardo, sadzone, grzanki, weetebix, musli, naleśniki z maple syrop, woda, soki, owoce, kawa, jedni piją z mlekiem sojowym, inni z chudym krowim - wyglądało jak nasze śniadanie wielkanocne, tylko u nas jest ono raz w roku. Dla dzieci witaminy w płynie, dla państwa Lowy w tabletkach, no i, nie

## Edward Derylak



mogłoby się bez tego obyć, tran w kapsułkach dla wszystkich - „na inteligencję”, mawiała Stella.

(...)

Byłam w trakcie prasowania - sterta pościeli złożona w kostkę leżała na krześle obok - kiedy wrócili z Hiszpanii. To jakiś absurd, pomyślałam, siedem walizek na tydzień! No, ale oni zabierają pół swojej garderoby: letnie garnitury pana, inny na spacer, inny na przyjęcie, koszulki, spodenki, suknie pani, dzienne i wieczorowe, kąpielowe stroje w kilku kolorach, kapelusze, buty... Jedna torba to same lekarstwa: od ukąszenia owadów, gryzoni, plastry, bandaże, tabletki na alergię, rozwolnienie, ból głowy, skręcenia, maści, kremy... Dziewczynki 4 i 5 lat też miały swój bagaż, ciuszki, fatałaszkę, zabawki.

Walizki musiałam szybko rozpakować, posegregować rzeczy: jedno do prania, inne do dry cleaning (czyszczenie chemiczne), przedtem sprawdzić kieszenie, czy niechcący nic się nie zawieruszyło (często znajdowałam pliki zmiętych banknotów o dużych nominałach). Pralka i suszarka pracowały na pełnych obrotach, miałam wrażenie, że nigdy się ten magiel nie skończy!

We wtorek rano znalazłam pod drzwiami małą kopertę. Pochyliłam się zdziwiona, podniosłam i z ciekawością otworzyłam. Było to zaproszenie na bal! Tak - na bal. Myślałam, że mam majaki przed oczami. Jednak napisane jest wyraźnie. Gdy ochłonęłam po chwili, dotarło do mnie, że faktycznie, zapomniałam o imprezie urodzinowej pani domu, dla której pracuję - 35. urodziny.

(...)

Wielki bal, sto dwadzieścia osób, wszyscy koniecznie w fancy dress, miał się odbyć piętnastego października, w sobotę, w hotelu

## Edward Derylak



Hilton przy Park Lane. Przygotowania trwały od miesiąca. Zaproszenia - sama wysyłałam - stroje, krawcowe, fryzjer, fotograf... – prawie takie samo zamieszanie jak przed ślubem. Kto doznał zaszczytu bycia zaproszonym wiedział od tygodni - ja, od tej chwili. Nie mam żadnej fancy dress i czasu - tylko trzygodzinna przerwa w ciągu dnia - żeby coś kupić. Przy śniadaniu podziękowałam, w ramach uprzejmości, bo co innego mi pozostało, przecież wiedziałam, że nie pójdę, ona też nie liczyła, że się pojawię, więc dwa w jednym: zaprosiła a mnie nie będzie - wilk syty i owca cała. Zapytali o wizytę u lekarza, to im powiedziałam.

Potem, mimo woli, posłyszałam rozmowę, jaką państwo domu prowadzili w livingroomie na mój temat, i owego zaproszenia. Zrozumiałam, że Stella, chciała mi w ten sposób wynagrodzić czy zrekompensować ostatnie swoje złośliwości. Fakt, doszło między nami do pewnych spięć i zgrzytów. Działo się to wtedy, gdy nie była w dobrym nastroju, a zdarzało się to cyklicznie, co trzy - cztery dni. Zawsze znalazła coś, była mistrzynią w wyszukiwaniu, żeby tylko mi dopiec; nawet byłam skłonna uwierzyć, że takie „szczypanie” mnie sprawia jej diabelską satysfakcję. Podkreślała, która z nas, choć ja nie miałam wątpliwości, pewnie ona tak, jest tutaj panią. Te werbalne utarczki były zazwyczaj głośne, ona się nie hamowała, szybko zapominała o swojej pozycji, a i ja gubiłam przynależną służbie, nieodłączną jak cień, pokorę i traktowałam jak równą sobie, a może i wyżej.

(...)

Stella bała się, że mogę odejść? Tak wnioskowałam; więc jest zadowolona z mojej pracy? Skąd w takim razie powtarzające się pretensje o nic? Nic z tego nie rozumiałam, a od myślenia bolała mnie

## Edward Derylak



tylko głowa. Tym zaproszeniem to pewnie chciała mnie udobruchać. To też nic nie kosztuje, taka myszka jak ja zniknie gdzieś w tłumie, nikt nie zwróci na nią uwagi.

Mówili coś jeszcze, jednak dzwonek do drzwi przerwał ową konwersację, musiałam szybko otworzyć. Był to Deren, chłopak z dry cleaning service. Ciemna karnacja, niewysoki, zawsze uśmiechnięty, około 36 lat. Pochodził z Tobago. Przychodził z dostawą. Musiałam wszystkie rzeczy poroznosić po pokojach. Najwięcej było pana domu. Koszule, garnitury, krawaty, koszulki polo; wszystko firmy Ralph Lauren albo Hermes, jego ulubione. Deren często pytał, co u mnie i czy jest coś, w czym może mi pomóc. Bardzo miły chłopak, niestety nie mogłam z nim długo rozmawiać, gdyż państwo nie życzyli sobie tego; zabraniali wzajemnego komunikowania się osób, które dla nich pracowały - była nas piątka: Bobi - kierowca, Jackie - ogrodnik, Artur - hydraulik i elektryk w jednej osobie, niania Meggy i sprzątaczką. Do nich wszystkich miałam numery telefonów, tak na wszelki wypadek.

Ten tydzień był bardziej busy niż zwykle. Przyjechali z Austrii Stelli rodzice i brat, student psychologii; na oko całkiem przyzwoity małolat, mhm, jak dla mnie. Kolejne trzy osoby, którym muszę usługiwać. Przygotować pokoje gościnne i zrobić kolację; w dniu przyjazdu był pieczony lamb z dużą ilością surówek, sałatek i czerwone wino - specjalnie dostarczane z Austrii - które lało się strumieniem.

(...)

Było bardzo gwarno, dziewczynki szalały w livingroomie, rozrzucając napotkane na podłodze zabawki, zdjęte wcześniej ubranka. Miały na wszystko przyzwolenie. Towarzystwo wybierało się na wycieczkę. Nie wiem gdzie, bo kompletnie mnie to nie

## Edward Derylak



interesowało, cieszyłam się, że będę miała spokój w czasie ich nieobecności.

Odjechali. Cisza. Co za ulga. Odetchnęłam ciężko. Już byłam zmęczona, a dzień dopiero się zaczął. Wzięłam głęboki wdech. Zrobiłam sobie kawę i usiadłam przy stole. Usłyszałam czyjeś kroki na schodach. Po chwili wszedł pan Klein. Na moje pytające spojrzenie odpowiedział, że od wycieczki wyłgał się złym samopoczuciem. Chciałam mu podać szklanekę wody, już podnosiłam się z krzesła, gdy powstrzymał mnie gestem ręki; uśmiechnął się i powiedział, że weźmie sam, że jemu usługiwać nie muszę. Zaczęliśmy rozmawiać. Pytał o moje wykształcenie, co kończyłam w Polsce, czy mam chłopaka, jak spędzam wolny czas, czy mam dużo znajomych, przyjaciół. Zrobiło mi się przykro, gdyż słuchając swoich odpowiedzi, uświadomiłam sobie, że to nie jestem ja, że słyszę głos obcej osoby; nie mam towarzystwa, z nikim się nie spotykam, nigdzie, dla przyjemności, nie wychodzę, bo po prostu nie mam czasu, że gdzieś po drodze, sama nie wiem gdzie, zgubiłam swoją radość, energię, apetyt na życie. Jestem maleńkim trybikiem w tej maszynie bogactwa, zbytku, przepychu. Który, ten trybik, gdy się zużyje, wymieni się na nowy. Drobinką w londyńskim molochu przypominającym arkę Noego.

Pewnie Klein czytał z mojej twarzy jak z książki. I wziął moją dłoń w swoją rękę, i powiedział, że bardzo się cieszy, że jego wnuczki mają mnie za nianię, że tak wielu rzeczy je nauczyłam, że sobie radzę, prowadząc tak wielki dom... Nagle głos mu się zaczął łamać. Zamilkł. W jego oczach zobaczyłam łzy. Nie wypuszczał z ręki mojej dłoni, czułam jak ciepło płynie do mnie. Zastanawiałam się z początku, dlaczego mi to wszystko mówi. Chaos myśli wypełniał głowę, serce

## Edward Derylak



moje waliło. Bezradnie patrzyłam w jego dobrze odżywioną, dobrotliwą twarz. Na zakończenie, mocniej ściskając mój ą dłoń, powiedział:

- Mimo iż Stella jest moją córką, a ty fantastyczną nianią dla moich wnucząt, proszę, nie zostawaj tu, uciekaj. Pamiętaj! Kiedy przyjadę następnym razem, ciebie ma już nie być. Szkoda ciebie dla tego wszystkiego. - Ręką zatoczył łuk przed sobą.

Miałam wrażenie, że się przesłyszałam. Jeszcze nie dotarło do mnie znaczenie tych słów, gdy ciurkiem popłynęły mi łzy. Rozpłakałam się. Zrozumiałam, że empatia jest obywatelką świata, że nie rozróżnia granic, koloru skóry, że mówi wszystkimi językami. Pierwszy raz widzę człowieka, a stał mi się w jednej chwili tak bliski. W odruchu cmoknęłam go w policzek i odskoczyłam jak oparzona. Znowu się uśmiechnął, wierzchem dłoni przecierając oczy.

(...)

Po tej rozmowie zdecydowałam, że pójdę na ten bal. Jeszcze wam, tobie, pomyślałam o Stelli, pokażę!

Nie miałam pomysłu, w co mam się ubrać, gdyż obowiązywał fancy dress, ani, tym bardziej, czasu na kupienie czegokolwiek. Uświadomiłam sobie, po chwili, gdy nieco ochłonęłam, że moja decyzja jest trochę szalona - przecież bal jest już w najbliższą sobotę.

Nie tracąc ani chwili przystąpiłam do działania. (...) Wpadła mi w oko jedna: czerwona, połyskujący materiał, długa do kostek, gole plecy, zawiązywana na szyję - naprawdę śliczna i, dla mnie ważne, nie taka droga. Jedyne mankament to rozmiar - o numer za duży. Mniejszej nie mieli. Błyskawiczna decyzja: zadzwoniłam do Derena - oprócz czyszczenia ubrań, firma, w której pracował zajmowała się wszelkiego rodzaju przeróbkami, wspomniął mi kiedyś - i spytałam,



## Edward Derylak



czy wyświadczy mi przysługę. Szybko znalazłam się w tej firmie, super, że Dana miała samochód. Jego koleżanka skroiła sukienkę i przycięła lekko tren; nazajutrz mieli mi dostarczyć do domu - w czasie, kiedy nikogo nie będzie. Wracając, kupiłam czerwone, długie rękawiczki z satyny. Artur, nasz hydraulik i elektryk, miał znajomą na Camden Town, więc załatwił mi perukę o blond włosach i maskę na oczy - ozdobioną brokatem, błyszczącymi kamykami i piórami - oraz czarny szal boa. Dodatki: „diamentowe” kolczyki, bransoletka i wielki pierścień miałam w domu...

I tak właśnie powstała - Marlin Monroe.

(...)

- Park Lane hotel Hilton - usłyszałam głos kierowcy, kiedy byliśmy na miejscu. Przeraziłam się, bo nie wiedziałam jak wielkie damy, a taką przecież dzisiaj jestem, wysiadają z samochodów. Zdecydowanym i pewnym krokiem ruszyłam przed siebie. Przy głównych drzwiach podszedł do mnie wysoki mężczyzna w czarnym smokingu - pracownik hotelu - i zapytał: „How can i help you?” (w czym mogę pomóc?). Pokazałam zaproszenie. Uśmiechnął się i powiedział, że prywatne party na pierwszym piętrze. Był uprzejmy i wskazał, gdzie mogę zostawić płaszcz, potem mnie odprowadził do samych drzwi. Za nimi bawili się moi pracodawcy, ich przyjaciele i rodzina. Za chwilę tam będę „jedną z nich”.

Wzięłam głęboki oddech i... na ugiętych nogach, drżąc ręką otworzyłam ciężkie drzwi.

(...)

Wzbudziłam zainteresowanie jako ostatni gość z listy zaproszonych. I ten powalający, zarówno kobiety jak i mężczyzn, strój. W peruce i masce na oczach nikt nie mógł mnie rozpoznać.

## Edward Derylak



Powoli rozpoznawałam niektórych gości. Rodzice Stelli, matka Mr Low i paru znajomych, którzy odwiedzali ich w domu.

W pewnym momencie jak spod ziemi wyrosła przede mną Stewardesa w towarzystwie Gangstera. Stella i Low. Ona, miała na sobie srebrną kusą sukienkę, włosy do pasa, natapirowane. W ręce trzymała butelkę szampana. On, obwieszony złotem, stojąc we władczej postawie, palił cygaro. Spytał podejrzliwym głosem:

- Czy my się znamy? Przepraszam, ale nie poznaję.

Przemilczałam pytanie. Stelli wręczyłam bukiet kwiatów i prezent, życząc Happy Birthday. Roześmiana, objęła mnie, mówiąc:

Thank you my darling (dziękuję kochanie) - spojrzała na mnie uważniej - ale kim ty jesteś?

- Katie — odpowiedziałam.

- Whooo? - zapytała, jakby pierwszy raz w życiu słyszała to imię.

- Katie - powtórzyłam odważnie — your houskeeper (twoja pomoc domowa). - Zdjęłam maskę z oczu. Flesze aparatu strzelały z szybkością karabinu maszynowego. Gangsterowi o mało cygaro nie wypadło z ust, a Stewardesie szampan z ręki. Patrzyli na mnie nieruchomym wzrokiem, z otwartymi ustami.

## SPIS UTWORÓW

|                                     |    |
|-------------------------------------|----|
| Maciej Rzymski                      |    |
| * * *                               | 9  |
| * * *                               | 11 |
| * * *                               | 12 |
| * * *                               | 13 |
| * * *                               | 14 |
| Edyta Wysocka                       |    |
| Apokalipsa odroczonej .....         | 15 |
| Agorafobia XXI wieku .....          | 17 |
| Chmury .....                        | 18 |
| Heliofity 2012 .....                | 19 |
| Bioetyka .....                      | 21 |
| Bogdan Nowicki                      |    |
| Pejzaż wiejski z konduktem .....    | 22 |
| Nieurodzaj .....                    | 23 |
| Tadeusz Charmuszko                  |    |
| Kółko .....                         | 24 |
| Michał Biernat                      |    |
| Trzecia kwadra .....                | 25 |
| Daniel Ratz                         |    |
| Znachorka .....                     | 27 |
| Alina Mendrala                      |    |
| Czas spadających gwiazd .....       | 39 |
| Piotr Kolasiuk                      |    |
| Głębia zapomnienia .....            | 63 |
| Małgorzata Stachowiak-Schreyner     |    |
| Jak Pan Bóg zjadł moją babcię ..... | 77 |
| Edward Derylak                      |    |
| Urodziny .....                      | 81 |

## Wykaz uczestników

| <b>Lp</b> | <b>Imię i nazwisko</b> | <b>Godło</b>       | <b>Miejscowość</b> |
|-----------|------------------------|--------------------|--------------------|
| 1.        | Alina Mendrala         | Lotos              | Siedliska          |
| 2.        | Jerzy Woliński         | Retro              | Warszawa           |
| 3.        | Grzegorz Chwieduk      | Brzoza             | Kępice             |
| 4.        | Maciej Rzymiski        | Jar                | Łódź               |
| 5         | Edyta Wysocka          | Omega              | Miastko            |
| 6         | Daniel Ratz            | Teby               | Płock              |
| 7         | Anna Pilaszewska       | Etola z szynszyli  | Wieliczka          |
| 8         | Edward Derylak         | JoAnna             | Żagań              |
| 9         | Joanna Szklarz         | Szturmowiec        | Domanice           |
| 10        | Tadeusz Charmuszko     | Kropidlak          | Suwałki            |
| 11        | Wanda Gołębiwska       | Anna               | Płock              |
| 12        | Monika Szybert         | Sol                | Siedlce            |
| 13        | Piotr Kolasiuk         | Maltrick           | Siedlce            |
| 14        | Andrzej Borowski       | Flower Lotos       | Siedlce            |
| 15        | Sebastian Baran        | Rengal             | Siedlce            |
| 16        | Adam Końca             | Adam               | Siedlce            |
| 17        | Izabella Degen         | Stella             | Wrocław            |
| 18        | Wojciech Stańczak      | Gran               | Józefów            |
| 19        | Bogdan Nowicki         | HEANEY,<br>dorośli | Świętochłowice     |
| 20        | Andrzej Ziobrowski     | Żagiel Biały       | Nowa Huta          |

|    |                                 |                      |                |
|----|---------------------------------|----------------------|----------------|
| 21 | Małgorzata Stachowiak-Schreyner | Baba Dziwo,<br>OT CO | Sulechów       |
| 22 | Milena Rytelewska               | Anion                | Myszków        |
| 23 | Lech Grała                      | Loft                 | Płock          |
| 24 | Michał Biernat                  |                      | Stara Dąbrówka |

**STUDENCKI OŚRODEK DZIAŁAŃ KULTURALNYCH  
„LIMES”**

Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach  
ogłasza

**XXXVI KONKURS LITERACKI**

Konkurs odbywa się w dwóch kategoriach:

- - poezji – zestaw 5 wierszy lub poemat **do 15 stron  
znormalizowanego maszynopisu**
- - prozy – mała forma prozatorska **do 20 stron  
znormalizowanego maszynopisu**

TREŚĆ I FORMA UTWORÓW DOWOLNE

Za najlepszy utwór związany tematycznie z Siedlcami przyznana zostanie nagroda specjalna.

Oddzielnie rozpatrywane będą prace studentów, prosimy więc zaznaczyć to na kopercie informacją „Student”

Prace konkursowe, nigdzie nie publikowane i nie nagradzane, w 4 egzemplarzach maszynopisu, **opatrzone godłem, wraz z kopertą podpisaną tym samym godłem i zawierającą imię, nazwisko i dokładny adres autora** (prace nie spełniające tych warunków zostaną pominięte), należy nadsyłać **do 28 lutego 2013 r. na adres:**

STUDENCKI OŚRODEK DZIAŁAŃ KULTURALNYCH „LIMES”  
ul. Bema 1  
08-110 Siedlce  
z dopiskiem XXXVI Konkurs Literacki

Ogłoszenie werdyktu Jury powołanego przez organizatora i rozdanie nagród odbędzie się jesienią 2013 r.

Konkurs odbywa się pod patronatem  
PREZYDENTA MIASTA SIEDLCE

Nagrodzone i wyróżnione prace zostaną opublikowane w pokonkursowym wydawnictwie zwanym.

Zapraszamy do udziału!